



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET

ROK 1924. WARSZAWA, 25 PAŹDZIERNIKA

CENA NUMERU 1 zł. 20 gr.

T R E Ś Ć N U M E R U :

Sienkiewicz a religja heroizmu — *Stefania Podhorska-Okołów*. Ognisko rodzinne a praca zawodowa kobiety współczesnej — *P.* O doborze nauczycieli — *K. S.* Z kongresu wszechświatowego dla zwalczania handlu dziewczętami i dziećmi — *Z. H.* Miasta i kobiety (wrażenia) — *Marja Kuncewiczowa*. Jarzębinowa ziemia (c. d.) — *Marja Dąbrowska*. Wiersze: „Z mojego domu” — *M. Zn. Szczepańska*. Kolacyjka u mojej żony — z francuskiego tłum. *M. D.* Drogami duszy (powieść) c. d. — *Helena Ceysingerówna*. Atlantyda — *C. W.* Zaślubiny Marji Gonzagi, księżniczki Mantuańskiej z królem polskim Władysławem IV Wazą. Roku pańskiego 1645. — przełożyła *Leonja Knollówna*. Marja Wołkońska i Teresa Confalonieri (c. d.) — *K. Bielańska*. Cel i zadania pedagogii (c. d.) — *Emilja Tecka*. Ironja Mrs Swauwick — *cw.* Kobieta w świecie i w domu — *Z. B.* Wychowanie fizyczne i życie sportowe kobiet — *I. Fabrycowa*. Państwowa szkoła gospodarstwa domowego — *E. K.* Z książek: 1)—*H. W.*, 2)—*E. K. L. A. S.* Suknia wizytowa (—). Wskazówki praktyczne — *Pani Elżbieta*. Z życia stowarzyszeń kobiecych (—). Dodatek powieściowy: „Czar Kwietniowy” (przekład z angielskiego) — przez autorkę „Elżbiety i Jej Niemieckiego Ogrodu.” Dodatek robót i ubiorów. ARKUSZ WZORÓW.

SIENKIEWICZ A RELIGJA HEROIZMU

„Niechaj wszystkie twoje słowa mają akcent heroicznej prawdy”.

Marek Aureljusz

Sienkiewicz powraca do kraju. Spoczną w podziemiach katedry świętojańskiej zwłoki człowieka, który w epoce, gdy o Polsce mówiło się tylko ukradkiem, albo nie mówiło się wcale, rozgłosił chwalebnie jej imię po wszystkich zakątkach globu.

Świat czci w nim wielkiego artystę, który mocą swego talentu rozpląmniał zachwytem serca ludzkie bez względu na ich przynależność rasową. Czy Polska zdaje sobie dziś sprawę, że powrót prochów wielkiego pisarza do Warszawy powinien być nie tylko pretekstem do jeszcze jednej wspaniałej manifestacji narodowej, ale triumfalnym pochodem pewnej idei, pewnego sztandaru, który Polsce musi przyświecać zawsze, jeśli ma ona Polską pozostać?

Tym sztandarem jest idea heroizmu.

Wieki całe wytknęły Polsce ten pion, od którego każde odchylenie grozi jej jeżeli nie zagładą, to przynajmniej spaceniem linii rozwojowej ducha dziejowego, a co za tem idzie, wyzbiciem się cech odrębności narodowej.

W chwili, kiedy w dusznych mrokach lat osiemdziesiątych Sienkiewicz rozniecił krwawą pochodnię swego „Ogniem i Mieczem”, — tego pionu wogóle widać nie było. Starczyło dwudziestu lat popowstaniowych, ażeby trawa porosła doszczętnie nie tylko mogiły poległych bohaterów jutra, ale i tego jutra nadzieje w sercach żywych.

Zamuliło się życie polskie napływem idei obcych, lub wręcz z duchem narodowym sprzecznych.

Pozytywizm, praca organiczna — to miały być te surowice wiecznej

młodości, które chciano zaszcześcić bezdusznemu organizmowi. Iskry dawnych, zdyskredytowanych porywów, tliły jeszcze gdzieś w podziemiach, gorliwie tłumione przez wyznawców nowego, zbawienego systemu.

Katakumbowe, zakonspirowane życie Polski było dopiero w zarodku. Odarty z piór, powalony w prochu, zdany na łaskę i niełaskę zwycięzców, pozbawiony chorążych, obrońców i wyznawców, próchniał zapomniany sztandar przeszłości, z którego miało wyrosnąć „Jutro”.

Tę atmosferę bezwładu, kwietyzmu, znieruchomienia rozdarł Sienkiewicz błyskawicą „Trylogii”. Spadła ona jak piorun na głowy zdumionego ogółu. Ludzie na razie nie zdawali sobie sprawy z uczuć, które opanowały ich z raptownością gorączki. Pochłaniali grube tomy, dygotali od wewnętrznego dreszczu i... płakali.

Czy możemy przypuszczać, że to wszystko się działo pod fascynującym wpływem fabuły?

Bezwątpienia nie! Cios był dobrze wymierzony i przyszedł w samą porę. Pod skorupą marazmu, jeszcze na szczęście nie dość ściśle zasklepioną zadrgało polskie niepoprawne serce.

Sienkiewicz sięgnął aż do wnętrza narodu i niemi zatargał. Postawił mu przed oczy szereg postaci „nie na miarę krawca lecz Fidjasza”, ludzi o muskułach ze stali, o pierśiach ze spiżu, o wzroku orlim, o sercach z wosku.

Ostatnie słowo rasy.

Pokazał mu Polskę, jak Łódź, zwycięsko po falach klęsk i nieszczęść żeglującą, a u steru tej łodzi dwa anioły: bohaterstwo i poświęcenie, prowadzące ją niezłomnie do przystani.

Najwyższe słowo ideologii narodowej.

Na błędy i pomyłki dziejowe, na blizny i jęczące rany przeszłości rzucił tęczyowy płaszcz wyobraźni. Proces wskrzeszania, któryby w innych warunkach mógł się zamienić w defiladę upiórów, w pochód bezcennych, ale zetlałych relikwii narodowych, urósł pod piórem Sienkiewicza w radosne powitanie życia.

Było to znakomite zwycięstwo na polu techniki artystycznej.

Ale z tem zwycięstwem łączyło się jeszcze jedno, dla bytu narodowego stokroć ważniejsze. Oto od czasu wielkich wieszczów romantyzmu poraz pierwszy z takim akcentem prawdy i przekonywującej siły przemówił

w Polsce głos rasy, głos tak długo i troskliwie tłumiony w imię rzekomego jej dobra. I choć Sienkiewicz nie zniżył swego dzieła do poziomu oręża jakiegokolwiek ideologii, lub historjofiji, — miał na to zbyt wiele zdrowego instynktu artystycznego, — tem nie mniej jednak to dzieło, nie będąc demagogicznym, stało się na wskroś rewolucyjnem. Sienkiewicz pozornie niczego nie obalał, z niczem nie walczył, a jednak dokonał niesłychanego przewrotu w umyśle i sumieniu narodu. Otaczając aurelę wielkości i sławy jego rycerską przeszłość, rzucił tem samem rękawicę całemu systemowi, który w tej przeszłości widział jeno zatarte źródło nieszczęść i klęsk i pragnął wykopać przepaść pomiędzy niem a narodem, aby go raz na zawsze wyleczyć z „niebezpiecznych złudzeń”.

Te wszystkie rowy, przekopy, tamy, usypane gwoździe rzekomej szczęśliwości społeczeństwa polskiego, ta cała sieć fortyfikacyj, w której miało ono się bronić przeciw swemu własnemu nieomylnemu instynktowi, — potężny talent Sienkiewicza zerwał, jak potok wiosenny.

Na opustoszałym ołtarzu narodowego kultu postawił znowu stracone przedtem bóstwo; wzbudził w narodzie uszpięconą w nim miłość, nadzieję i wiarę, trzy kolumny świątyni, w której miała zamieszkać religja przodków — religja heroizmu.

Gotowość oddania życia w imię wyższych nakazów, nawet gdyby ta ofiara miała być bezpożyteczną, — hasło, które przyświecało wszystkim polskim sejmom, insurekcjom, konspi-

racjom, znowu zostało podniesione do godności sztandaru narodowego.

Dwa pokolenia wychowały się już na Sienkiewiczu. Czerpały one z niego nie tylko rozkosz estetyczną; czasu niewoli gasiły w jego źródle trawiącą je gorączkę swobody, wielkości, bohaterstwa. Gasiły, czy też raczej podsycaly,

Z wybuchem wielkiej wojny okazało się, że jednak „największe rzeki płyną zawsze pod ziemią.” Taką rzeką podziemną, nurtującą podglebie dusz polskich, była niewątpliwie Trylogja. Dzięki niej Sienkiewicz stał się odrazu jednym z wielkich wychowawców narodu.

Kult bohaterstwa przeniesiony z dziedziny ściśle narodowej w dziedzinę kultu religijnego stał się osią drugiego arcydzieła Sienkiewiczowskiego: „Quo Vadis”? Odtąd imię jego dąży po szlakach wszechświatowej sławy. Sienkiewicz staje się człowiekiem już nie jednego kraju, ale całego globu. Opanowuje wyobraźnię wszech ziem mocą swego talentu. Przed arcyzmem jego korzą się miliony.

A Polska? Dla Polski ten wielki artysta, ta potężna indywidualność twórcza, ten pisarz z Bożej Łaski pozostanie jednak zawsze przede wszystkim skrzydlatym rycerzem „Trylogji”, w szalonym pędzie cwałującym przez ziemie polskie z „Ogniem” zapalu w jednej ręce, z „Mieczem” czynu w drugiej.

Takim przejdzie do legendy narodowej.

Stefanja Podhorska-Okolów

Ognisko rodzinne a praca zawodowa kobiety współczesnej

Jeszcze nie tak dawno — poważną troską rodziców, wychowujących córki, było zdobycie dla nich możliwie największej sumy posagowej. Nazywało się to wówczas, że panna ma „przyszłość zapewnioną”.

Posag ułatwiał sprawę wyjścia zamąż i dawał mniejszą lub większą gwarancję spokojnej egzystencji materialnej. Dziś — te posagowe kombinacje należą do przeszłości. Zbyt wiele fortun stopniało do zera w ciągu oszałamiająco krótkiego czasu, zbyt wiele posażnych pań znalazło się wobec konieczności samodzielnego zarabkowania. Walka o byt nie jest frazesem i niejednokrotnie najlepiej ulokowany kapitał nie przekreśla konieczności stanięcia oko w oko

z tem zagadnieniem. Dziś żadna rozumna matka nie powie, że wypełniła zadanie wobec przyszłości swej córki — dając duży posag. — I dla mężczyzny i dla kobiety kwestja posiadania fachu, jest kwestją pierwszorzędnej wagi i istotnego znaczenia. Jeśli w to zagadnienie wejrzymy głębiej — jeżeli przeanalizujemy skrupulatnie przykłady tak obficie dostarczane nam przez bieg życia, przekonamy się, że kwestja szczęśliwego wyboru fachu — jest zagadnieniem dla kobiety bardziej jeszcze istotnem niż dla mężczyzny.

Dlaczego? Odpowiedź bardzo prosta.

Każda kobieta czy ta, która nie wychodzi zamąż, czy też tem bar-

dziej ta, która ma swój dom, zawsze będzie miała magnes silnie odciągający ją od jej zainteresowań fachowych. Gdy mężczyzna potrafi całkowicie, bez reszty oddać się swemu zawodowi — (ileż mamy takich przykładów) kobieta zawsze poza swoją pracą fachową będzie miała swoje własne, intymne życie, absorbujące ją w niesłychanie intensywny sposób.

Kobieta, która tego nie posiada nie jest szczęśliwą i to poczucie braku szczęścia stwarza znów owe ognisko, odciekające jej myśl i jej oddanie pracy zawodowej.

A więc wybór fachu dla młodej, wchodzącej w życie kobiety jest kwestją pierwszorzędnej wagi, po pierwsze

dla tego, że fach, źle odpowiadający jej zamiłowaniom, zeżre ją — jak robak toczący owoc, powtóre dla tego, że zawsze w życiu kobiety zjawia się zainteresowanie inne, odrywające ją od jej pracy zawodowej, zainteresowanie silne, pociągające, potężne, jak samo życie.

Kobieta współczesna, ta której jeszcze nie ujęło słowo drukowane, która jeszcze nie dostała się pod skalpel rozważań teoretycznych, ale która już jest, która mocną stopą stanęła w życiu — której wyrazisty profil wewnętrzny zaczyna się coraz jaśniej rysować — jest inną, niż były nasze prababki — oddane całkowicie dreptaniu domowej i tyśiącznym drobnym kłopotom, jest inną niż pokolenie przedwojennych emancypantek, — które, włożywszy sztywny męski kołnierzyk, umyły ręce od wszystkiego, co jest zaciszem ogniska domowego i wdziękiem uśmiechu dziecięcej twarzyczki.

Współczesna kobieta musi być inną i jest inną.

Po prababkach potężną siłą dziedziczności wzięła kult tego, co nazywamy domem! Zresztą, mój Boże! tyle lat płonęły w pożodze wojennej strzechy rodzinne, tyle lat najdroższe głowy mężów i narzeczonych wróg brał na cel, a śmierć zaglądała w jedyne na świecie oczy, tyle minęło dni rozłąki i najserdeczniejszego lęku, że oto teraz, gdy można wśród błogosławionego spokoju zasiąść w kręgu lampy i wsłuchać się, jak w ciszy domowej bije równo i spokojnie tętno szczęścia rodzinnego — jakżeby od takiej chwili oczy odwrócić — jakże nie nazwać tego słowem najczulszem. Dlatego kobieta, którą wychowała wielka wojna światowa, zna i ceni świętość życia rodzinnego.

Ale to właśnie ukochanie domu własnego kazało jej stanąć przy warsztacie pracy zarobkowej — a tem samem stworzyło nowe źródło zainteresowań, leżące po za sferą jedyne go tematu życiowego naszych prababek — po za ogniskiem rodzinnem.

Tak jest istotnie! I nie jest to bynajmniej nieszczęściem. Przeciwnie! Rozszerzenie zainteresowań pogłębia i rozszerza samą treść życia kobiecego. Każcie kobiecie, kochającej swój fach, piastującej w swej duszy najszlachetniejsze ambicje zawodowe — każcie takiej kobiecie rzucić pracę, zamknijcie ją w czterech ścianach domu.

Jeżeli kobieta ta miała istotnie zamiłowanie i zdolności w danym zawodzie, jeżeli nie „odrabiała” ro-

boty, ale ją „tworzyła” — jeżeli czuła się cze m s w swoim fachu — to, odcięta od pracy, będzie nieszczęśliwa. A kobieta nieszczęśliwa będzie czuła pustkę w duszy, będzie uważała siebie za ofiarę losu — będzie wyolbrzymiała swe zdolności zmarnowane i swe możliwości niewyzyskane i będzie wyolbrzymiała wielkość swojej ofiary, złożonej na ołtarzu życia domowego.

Ale co jest najważniejsze i w danym wypadku naprawdę istotne — to fakt, że kobieta w takim właśnie poczuciu zmarnowanego życia — nie potrafi być ani dobrą towarzyszką swego męża, ani wychowawczynią swoich dzieci.

Kobieta dobrze i owocnie może pracować tylko w atmosferze radości życia — i to niezależnie od tego, czy jest to jej praca fachowa, czy też jej praca matki i pani domu.

Albowiem — kobieta, która zabiła w sobie radość życia — jest pozbawiona istotnej cechy swej kobiecości.

Jak mówiłam, rozszczepienie zainteresowań życiowych kobiety między dom i pracę fachową, jest zagadnieniem nowem i jako takie wydaje się nam w tej chwili zagadnieniem skomplikowanym, ale nie ulega kwestji, że dziś nie da się już ściągnąć życia współczesnej kobiety do jednego tylko tematu — to jest do ogniska domowego.

Patrzę na życie współczesnych kobiet, znam ich tyle! Widzę — jak układają się ich stosunki, jak normują ich sprawy — i twierdzę — że ognisko domowe współczesnej kobiety nie ucierpiało z racji jej zainteresowań pracą zawodową.

Przeciwnie — widzę, że życie to wzbogaciło się, rozrosło, otrzymało nowe walory. W numerze 40 „Bluszczu” w artykule wstępnym p.t. „Ważne zagadnienie” wskazywałam na ujemne strony pracy zarobkowej i zawodowej matek — ale przecież praca ta ma swoje plusy istotne, poważne, nie dające się przekreślić!

Jeżeli nawet pominiemy względy natury materialnej — tak ważne dziś dla niejednej rodziny inteligentkiej — to pozostaną jeszcze motywy natury moralnej — niesłuchanie ważne i istotne. Poczucie, że się jest cze m s, że się posiada swój własny warsztat pracy, — że wnosi się w bieżące życie swoją myśl, inicjatywę, swoje wartości duchowe — daje kobiecie rozmach i uczucie pełni życia. Ten rozmach i te pełnie wnosi ona do

swojego środowiska rodzinnego i staje się naprawdę jego uśmiechem i szczęściem.

Ileż znałam kobiet znudzonych jednostajnością swej pracy codziennej w domu, ile rozgoryczenia i zniechęcenia przewijało się poprzez ich opowiadania o domu: „dzieci, kuchnia, cerowanie, porządki”, a wszystko to owiane uśmiechem ofiary pełnej rezygnacji i melancholji. Czasem ma się wrażenie, że taka kobieta czuje się pokrzywdzoną i nieszczęśliwą, że w tym kieracie drobnych kłopotów wdeptała w szarżyznę codzienności swoją młodość, inteligencję, swój rozkwit. Ma się wrażenie, że gdyby dać jej nowe pole zainteresowań, nowy bodziec życiowy, mogłaby się odrodzić i zewnętrznie i wewnętrznie.

Praca zarobkowa — ma, jak każdy zawód, swoje strony ujemne i ciężkie, ale od pracy tej wraca się do domu — jak do upragnionego celu, jak do szczęścia. Jednak by praca zarobkowa nie była kulą u nogi — muszą się złożyć dwa czynniki. Po pierwsze: Ukochanie swojej pracy, powiązanie z nią, swych najszlachetniejszych ambicji osobistych, po drugie: zdrowie fizyczne kobiety.

A więc: kobiety muszą niesłuchanie starannie obierać swój [fach! Przedewszystkiem musi to być fach, który się da pogodzić z obowiązkami matki i wychowawczyni. Dlatego dziewczęta przygotowujące się do życia muszą pamiętać, że trzeba będzie w przyszłości zawodowi swemu poświęcać czas odebrany domowi — jeżeli zawód będzie przez nie niecierpiany — stanie się to źródłem poważnych niezadowoleń życiowych, bo żeby pracę wykonać dobrze i z pożytkiem nie tylko dla samej pracy, ale i dla samej siebie — trzeba tę pracę kochać! A teraz zagadnienie drugie.

Zwiększenie zakresu obowiązków kobiety — musi iść w parze z podniesieniem stopnia jej sprawności fizycznej. Nareszcie już został złożony do archiwum typ mdlejącej piękności — Dziś „modna żona” nie choruje na migreny i nie wacha orzeźwiających soli, ale staje na boisku sportowem, bo nie tylko moda — ale samo życie wymaga od niej tężyzny [fizycznej]. To też matka, wychowująca córki musi myśleć o tem, by dać im dwa największe walory, szczęśliwie obrany fach i zdrowie fizyczne. Te dwa czynniki złożą się na to, co jest podstawą szczęścia kobiety i jej rodziny na radość życia.

O DOBORZE NAUCZYCIELI

Nikt chyba nie zaprzeczy, że alfą i omegą wszelkich zagadnień szkolnych, jest sprawa doboru sił nauczycielskich. I nie trzeba się wdawać w spekulacje filozoficzne na temat: że nie system ludzi, ale ludzie tworzą systemy, aby tę prawdę przyznać. Wystarczy na to proste doświadczenie. Bo jeśli mówimy czasem, że jakaś dobra szkoła urobiła sobie dobrych nauczycieli, znaczy to tylko, że jakiś genialny jej twórca i kierownik wywarł silny wpływ kształcący na swoich młodych współpracowników. Za przykład mogą służyć twórcy nowych systemów szkolnych, a zarazem wychowawcy nowego typu nauczycieli — tacy, jak: B. T. Washinton, Dewey (Ameryka), Decroly (Belgia), Lietz, Wyneker (Niemcy) i t. p. Jak wszędzie zresztą grunt: człowiek, jego charakter, talent, wykształcenie!

Jakże bardzo dalecy jesteśmy od tego ideału! Czem to się dzieje? Niedołęstwo, czy zła wola?

Trzeba przyznać, że główna przyczyna tkwi w pewnego rodzaju błędem kole. Brak odpowiedniego materiału na dobrych nauczycieli, bo brak odpowiednich nauczycieli, którzyby ich odpowiednio wykształcili i wychowali.

Tymczasem życie nie stoi; trzeba dużo, bardzo dużo nauczycieli i musi się brać takich, jacy są.

A jednak i w tych warunkach nie jedno mogłoby być lepiej, gdyby nie rozmaite względy i względziki, nie mające nic wspólnego ani z dobrem publicznym, ani tem mniej z interesem pedagogicznym.

Bądźmy na chwilę zupełnie szczerzy! O przyjęciu nauczyciela decydują najczęściej względy natury politycznej, utylitarnej, towarzyskiej — jednym słowem to wszystko, co nosi nazwę: protekcja; o nieprzyjęciu zaś, przynadzwyczajnych nieraz kwalifikacjach naukowych, pedagogicznych, moralnych i narodowych — wszelkiego rodzaju uprzedzenia, o ile nie są zrównoważone odpowiednio wysoką protekcją.

Od nauczyciela powinno się wymagać kwalifikacji takich, jak: fachowe wykształcenie, zamiłowanie i talent pedagogiczny, praktyka nauczycielska, pod kierunkiem doświadczonego pedagoga odbyta, charakter nieskazitelny i przynależność do narodu.

Przechodząc do poszczególnych punktów tych wymagań, trzeba zaznaczyć, że o ile fachowe wykształcenie i praktykę nauczycielską stosunkowo łatwo jest stwierdzić na podstawie przedstawionych świadectw, o tyle stwierdzenie zamiłowania i talentu pedagogicznego, nieskazitelności charakteru i przywiązania do narodu jest trudne i wymaga szczególnej staranności. Tak samo t. zw. „świadectwo moralności,” wystawione przez policję, nie mówi nic o walorach etycznych, wymaganych od nauczycieli, jak

„dowód osobisty” o uczuciach narodowych. Są to formalności, może skądinąd konieczne, ale w każdym razie grubo niewystarczające dla kandydata na nauczyciela.

Jedynie miarodajną jest tu opinia publiczna, a raczej sąd obywateli kompetentnych, nieskazitelnych i znanych w narodzie. Jest rzeczą ciekawą, że u nas tego rodzaju wymaganie istnieje, ale nie jest zupełnie przestrzegane. Bo chyba nikt nie zechce naiwnie twierdzić, że spełnia to zadanie t. zw. protekcja. Trzeba bowiem zwrócić uwagę na tę zasadniczą różnicę, że co innego jest polecenie bezinteresowne i sąd człowieka kompetentnego, a co innego najrozmaitszego rodzaju presje, wywarte przez ludzi, nie mających nieraz nic wspólnego ani z nauką, ani z pedagogią. Jeśli protekcja jest wszędzie potępienia godną, to przy obsadzeniu posad nauczycielskich jest rzeczą wprost niedopuszczalną.

Zapotrzebowanie nauczycieli jest u nas od początku i będzie jeszcze przez czas dłuższy bardzo znaczne. Wielkopolska i Kresy nie miały prawie swoich nauczycieli; Królestwo miało ich za mało. Poza tem powstał jeszcze cały szereg szkół nowych. Rozumie się, że w tym stanie rzeczy musiała z konieczności znacznie się obniżyć skala wymagań, stawianych nauczycielom. Jeżeli nawet zgodzimy się na to, że lepiej jest, aby uczono trochę gorzej, niż aby nie uczono wcale t. zn. zgodzimy się na pewne ograniczenie kwalifikacji naukowych, to jednak w żadnym razie nie jest dopuszczalne obniżenie poziomu wymagań moralnych. Na tę stronę nie wolno „patrzeć przez palce,” zwłaszcza, że warunki, w jakich się dziś wychowuje młodzież, są nad wyraz ciężkie. Trzeba silnych charakterów moralnych i pedagogicznych, aby mogły sprostać wyjątkowo trudnym zadaniom, jakie dzisiaj zawód ten stawia. Czy władze szkolne dostatecznie o to się troszczą?

Trudno także zgodzić się na takie anomalje, aby np. germanistom i filologom klasycznym z powodu redukcji godzin ich przedmiotów — oddawano np. matematykę i przyrodę tylko dlatego, że mają stałe posady, że więc trzeba im dać jakieś zajęcie, a tylko ze względów oszczędnościowych nie angażowano fachowych nauczycieli do tych przedmiotów. Taki system musiałby nas doprowadzić do śmiesznych i szkodliwych rezultatów.

Postawienie pozytywnych zasad doboru sił nauczycielskich jest rzeczą dość trudną. Taką zasadą najogólniejszą byłby bezwarunkowy postulat, aby kierować się przytem li tylko interesem publicznym, a więc wyłącznie względami natury pedagogicznej. Przechodząc zaś do szcze-

gółów, trzeba z naciskiem podkreślić rzecz, dotychczas zupełnie lekceważoną, a mianowicie, że nie każdy nauczyciel do każdej szkoły się nadaje. Z tem się liczyć trzeba. Z tego wynikają nieobliczone szkody, zwłaszcza w szkołach żeńskich. Sprawą tą powinni zainteresować się przede wszystkim wizytatorzy, bo tylko oni mają porównawczy przegląd szkół i nauczycieli.

W związku z tem pozostaje kwestja ogólna: jakie powinno być grono nauczycielskie w szkole męskiej, a jakie w żeńskiej?

Jeśli przeciwko koedukacji młodzieży można podnieść te lub owe, słuszne czy niesłuszne zarzuty, to co się tyczy — że tak powiem — „koedocencji” czyli grona nauczycielskiego mieszanego (z mężczyzn i kobiet), podnieść można ten chyba jedynie zarzut, że koliduje ona tylko z interesem materialnym mężczyzn. Niema bowiem innego poważnego powodu, aby nie dopuścić kobiet do uczenia w szkołach męskich. Przeciwnie, są wszelkie dane pedagogiczne i społeczne, przemawiające stanowczo za tem.

W szkołach średnich żeńskich wszędzie dotychczas uczą grona mieszane i nikt nie widzi w tem nic niewłaściwego. Czyżby uczniom ze strony nauczycielek miały grozić większe niebezpieczeństwa? Boć przecież zarzut, że kobieta jest za słaba, aby sobie poradzić z chłopcami, nie wytrzymuje zupełnie krytyki. Nie siłą fizyczną bowiem, ale moralną nauczyciel panuje nad młodzieżą. Zresztą próba, zrobiona w Królestwie w czasie, kiedy brakło tam nauczycieli mężczyzn i kiedy ta praca była ciężką i niebezpieczną służbą narodową, wydała najlepsze rezultaty. Dziś i tam usunięto prawie wszystkie kobiety ze szkół męskich i tylko na prowincji, gdzie o siły nauczycielskie jest trudniej, niektóre nauczycielki jeszcze się utrzymują na stanowiskach.

Tymczasem nigdy może więcej, niż w czasach obecnych, nie było pożądanem, aby w szkołach męskich uczyły grona mieszane. Wobec ogólnego obniżenia poziomu moralnego, wobec specjalnego „zdżiczenia” obyczajów u chłopców, łagodzący wpływ kobiet — nauczycielek — odpowiednio dobranych — mógłby się okazać błogosławionym.

Zarówno więc w szkołach męskich, jak i w szkołach żeńskich powinny być zespoły nauczycielskie mieszane. Ale pamiętać należy przytem, że nie każdy nauczyciel odpowiedni jest dla szkoły żeńskiej, nie każda nauczycielka dla szkoły męskiej, i że wogóle nie każdy nauczyciel do każdego zespołu się nadaje. Siły nauczycielskie muszą być ze sobą szarmonizowane — inaczej nie może być mowy o owocnej współpracy.

Z Kongresu wszechświatowego dla zwalczania handlu dziewczętami i dziećmi

Piękne miasto Graz było miejscem dwóch Wszechświatowych Kongresów dla przeciwdziałania publicznej nieobyčajności. Od 18 września do 21 t. m. odbywał się kongres dla zwalczania handlu dziewczętami i dziećmi, a od 21 do 24 września odbył się kongres dla zwalczania prostytucji.

Jeszcze w 1885 r. angielskie stowarzyszenie „National Vigilance Association” zwróciło uwagę na handel dziewczętami i dziećmi i chciało tej zbrodni zapobiec. W tym celu W. Coote starał się już o stworzenie międzynarodowej planowej współpracy.

Pierwszy międzynarodowy kongres dla zwalczania handlu dziewczętami i dziećmi miał miejsce w Londynie w 1898 roku. Od tej pory odbywają się stale konferencje międzynarodowe i kongresy w tej sprawie, a wiedząc, ile zła tworzy ta zbrodnicza działalność, prawie wszystkie państwa biorą udział w akcji ratunkowej. Z kolei odbywają się kongresy we Frankfurcie, Paryżu, Wiedniu, Madrycie, Londynie, aż nareszcie 6-ty kongres międzynarodowy postanowiono odbyć w Graz. 25 państw reprezentowanych ze wszystkich części świata, zainteresowanie kolosalne, wiadać zapał i szczerą chęć do pracy, ażeby przeciwdziałać temu, co woła o pomstę do nieba, gdyż krzywda jest nie do opisanie. Tylko piekło dantejskie może iść w porównanie z katuszami, które znoszą istoty ludzkie, wpadłszy w sieci handlarzy żywym towarem.

Kongres w Graz urządził z wielkiem poświęceniem i nakładem pracy książdz profesor dr. Ude, który też zgromadzenie składające się z kilkuset osób, przywitał z entuzjazmem

i prawdziwym uczuciem zgrozy, mówiąc o rzeczy, nad którą debaty mają być prowadzone. Mówił on: „Świat leży w gruzach. Duch egoizmu, kłamstwa materializmu, mamony zrujnował świat cały. W gruzach — gospodarcze życie, w gruzach — moralność. W tej strasznej chwili chcemy wrócić światu porządek, życie. Nienawidzimy wszystkiego, co pozbawia człowieka praw ludzkich i walczyć będziemy o ich przywrócenie. Naszym orężem będzie prawda, sprawiedliwość i prawdziwa moralność. Problem seksualny jest centralnym problem, dookoła którego mniej lub więcej kręci się cała moralność. Prawdziwy związek narodów jest tu między nami, bo nie ma różnic politycznych narodowych, ani wyznaniowych. Wszyscy razem współdziałać będziemy przy pomocy Ducha Świętego, który będzie w nas i z nami”. Mowa wypowiedziana w języku niemieckim, była tłumaczona przez samego mówcę na język angielski, francuski, włoski i serbokroacki. Następnie Claude Montefiore, delegowany brytyjskiego narodowego komitetu został wybrany na przewodniczącego zebrania. — Przywitał zgromadzenie prezes sądu Styryi dr. Rintele, burmistrz miasta Graz p. Muchitsh, a Montefior zaznaczył „abso-

lutną swoją solidarność z przemówieniem ks. prof. dr. Ude.

Wszyscy przedstawiciele rządów z kolei przemawiali Belgji, Holandji, Niemiec; Włoch, Chin. Przedstawiciel tych ostatnich twierdził, iż mur chiński już zwalony, że od 13 lat Chiny idą do kultury, rząd razem z narodem stara się o dalsze przełamywanie starych zwyczajów, prawo przeciwko handlowi żywym towarem już jest wydane.

Następnie miss Baker, jeneralna sekretarka biura międzynarodowego dla zwalczania handlu dziewczętami i dziećmi odczytała program prac kongresu. — Popołudniowe posiedzenie rozpoczyna się dalszym ciągiem przemówień przedstawicieli państw, którzy starają się przekonać zebranie, iż wszędzie robi się wszystko, co można, ażeby to zło straszne zmniejszyć.

Niemiecki przedstawiciel powiada, że w jego ojczyźnie urządzają się zebrania nauczycieli, duchownych, robotników i wszędzie jest posyłany wykwalifikowany mówca, ażeby oświecić zebranie, które ma tworzyć dalszą propagandę. — Delegatka Egiptu mówi o stosunkach w Kairze bardzo złych, ale już znajdujących się w stadium poprawy. Rząd egipski wyasygnował 400 funtów na ten cel.

Utworzono pomoc dla przyjeżdżających dziewcząt, które, jak statystyka wykazuje, należą do 17 państw. Utworzył się również komitet, do którego należą wszystkie wyznania. Delegacje Francji, Węgier, Norwegii, Szwecji, Szwajcarii i innych państw mówią o rozmaitych zarządzeniach i pracach ich rządów na korzyść ruchu walki z handlem żywym towarem.

(c. d. n.)

X.



MIASTA I KOBIETY

(WRAŻENIA)

IV.

Jest w Paryżu mała dziewczynka. Lnianowłosa, zielonooka... Drobniutka, jak koliber. I jak dzwoneczki świergotliwa. Imię jej Parisys.

Pamiętam: dwa tysiące lat temu miałam przykry wypadek na hippodromie — koń z kwadrygi mego przyjaciela ugryzł mnie w rękę, gdy podawałam cukier spienionym wargom. Odjechałam więc — zirytowana — do białej willi w Ostji i dwa tygodnie spędziłam na posłaniu z alg sam na sam z moją gorączką. Wtedy poznałam Parisys.

Nazywała się Tisbe.

O południu drgały w powietrzu złote struny, na których złote muchy skrzydłami grały piosenkę. Zapach cyprysów włóczył się nad falami, jak mewa. Z liści lauru spływał miód. A kolumny otwierały martwe dłonie akantu, niczem w kwietniu kasztanowe drzewa. Zdejmowałam sandały i, bosa stopy kąpiąc w piasku, szłam, gdzie fale laskotały brzeg, podobne piórom wielkiego wachlarza. We wgłębieniu zatoki było moje łóżko, algami wysłane.

Tam przybiegła do mnie białowłosa Tisbe. Najpierw zobaczyłam jej oczy zielone wśród brylantowej śliny morza. Podniosła głowę z wod-

nego wezglowia i patrzyła tak, jak patrzy kwiaty, kiedy nie dotyka ich oko człowieka. Uśmiechnęłam się. Różowem kolaniem roztrąciła wodę i — migocząc na kształt rosy — poskoczyła ku mnie. Śmiech rozsypał się w powietrzu. Perłowe paciorki śmiechu spadały na piasek. Tisbe siedziała już na suchych algach i palcami, jak soplek lodowe, rozsuwała moje powieki. Chwila jeszcze, a złote topazy — które tak kochał przyjaciel daleki — wyluskane z oprawy rzęs, zadrgałyby boleśnie w złośliwych dłońkach. Nie miałam siły wydać głosu ani podnieść ręki — za całą obronę był mi łomot spłoszonego serca.

Nagle zatętnił tupot kroków jakichś drobnych ale mocnych — z skały wyrzała lotrowska twarz Kozodoja. Zawołał. Tisbe — pilnie męką moich żrenic zajęta — cofnęła purpurowy jęczyzek i opadła w sobie, jak meduza. Nastawiwszy łba, chłopisko o koźlich nogach pędziło wielkimi susami ku złej czarodziejce. Nisko pochyliła się lniana główka i z pod gęstwiny jedwabnej wybiegały spojrzenia niespokojne, niby jaszczurki... A leśny mąż był już przy nas. W ramiona kosmate chwycił psotnicę i miażdżył gniewnie dziecięcą urodę. Krzyknęła Tisbe głosem pawika i wyprężyła się, jak struna. Faun, z dziewczynką w objęciach, pobiegł szybko ku gajom; gdy o skałę zadzwoniły kopyta, ujrzałam lnianą zasłonę na kudłach Kozodoja i różowy płatek pocałunku na jego wargach. Dwoje ramion oplatało wieńcem gruby kark; dwa szmaragdy jarzyły się nad czołem brodacza. A ślady fugi zasypywał śmiech — ulewa ostrych djamentowych kryształków.

To było w Ostji, i dawno.

Teraz o Tisbe mówią: Parisys. Widzieć ją można najłatwiej w „Casino de Paris“. Wchodzi na scenę dziewczynka z czupryną, jak lalczyzna peruka, i słowami ciska w widownię, niby garścią szklanych confetti. Słówka podskakują wśród gapiów, wpadają w otwarte usta, czasami wślizgują się za kołnierz i łaskocą do łez, błyszczą w powietrzu na kształt iskier i gasną, zostawiając nad głowami publiczności smugę piżmowego zapachu. Dziecięca Parisys płasza w koszulce wśród fraków i mundurów, pięty różowe migają między nosami mężczyzn, wichrem noszą się lniane kędziory.

„Śmierć guwernantkom, pismu świętemu; dobrym manjerom i sercom! Niech piorun spali nagrodę Monthion, cichą panią w żałobie, wszystkie niemowlęta i lorda Byrona! Oby po raz tysięczny zginęła na wieki cnota i bawelniana bielizna! Obmierzłe są ptaszyska: słowik, gołąb i skowronek (łabędzia uratuje Leda). Podłe te kraje, gdzie kwiaty sterczą na łądach, a łóżka służą do spania. I po co anioły u stóp bolejącej matki w dłoniach piastują lilje zamiast parasoli? Chodźcie frywolni, wysportowani starcy i wy, piękne, nagie matrony! Chodźcie bezczelni młodzieniaszkowie z oczami przemęczonych kobiet i wy, doświadczone dziewczeczki! Biegnijcie pantery i niezapominajki, śpieszcie dolary, gwiazdy, krawcowe i miasta... Będziemy tańczyć, jak apasze, mordować po królewsku, suknie szyć z samego słońca, splatać warkocze mężczyznom, kobiety chwycić za gardła; będziemy pachnieć, jak pole storczyków, będziemy pieśni śpiewać ze starymi i młodym prawić o śmierci. Do czego służą wiersze? Czyż brzydko jest dłużyć w nosie?“

Tak mówi teraz Tisbe. Nauczyła ją tego gavroche'e.

Ale bywa czasem, że nagle widok muszli albo kosmate łapa inspijenta przypomną jej pieczarę, gdzie była kochanką fauna. Zrzuca wtedy Parisys koszulkę, wyjmując palec z nosa i staje się piękna. Zła, naga i piękna. Jak lala, jak myśl i jak kobieta.

Jest w Paryżu duży kościół. Biały, nowy... Świetny jak pałac. I jak pałac samotny. Imię jego Sacré Coeur.

Pamiętam: miałam lat niedużo. Mieszkałam w polskim miasteczku. Kiedy wśród wrzasku dzwonów przypływała niedziela, wkładałam kapelusz z piórkiem i wczesną godziną, otoczona wieńcem braci i ciotek, śpieszyłam na mszę dla inteligencji. W powrotnej drodze trzeba było uważać, żeby nie nadepnąć na ogon doktorowej, która szła z ciotką pod rękę. W domu wieńczyła obiad legumina z sago — dla święta. Przy czarnej kawie przeglądało się „Świat“, wkraczał rejent na partyjkę wista i siostra zasiadała „do Chopin'a“. Zamykałam oczy i bawiłam się recytowaniem sztyldów na pamięć. Noce tylko tańczyły po wariacku: szalone były od snów.

Aż kiedyś zawieźli mnie do Paryża. Dwa dni — pełne blasku, jak dwie żrenice — biegałam po bulwarach. Pierwszy skoczył mi do oczu Panteon. Ukorzyłam się i powiedziałam: to piękne. Ale zaraz potem wszedłam do Luksemburskiego ogrodu i już zdradziłam Panteon na wieki. Stamtąd zawiozło mnie „Métro“ na plac Zgody. Stałam na asfaltowej wysepce. I opętały mnie wszystkie radości: rozkosz, że jestem maleńka a rzeka samochodów nurt ma taki wartki a łóżysko takie szerokie; zachwyty, że niema sztyldów, tylko cudowne dalekie linje i koła; podziw, że ludzie przez tyle wieków nie pomyśleli ani razu, jak drogi jest metr kwadratowy na Polach Elizejskich, lecz myśleli ciągle, jak piękna powinna być francuska ulica.

Pokochałam to miasto. A byłam młoda bardziej, niż kiedykolwiek. Więc trzeciego dnia — znalazłszy się na Montmartre — zapragnęłam ukłęknać w bazylice i podziękować do bremu Bogu, Weszłam. Kościół mnie ogarnął czarodziejski, jak raj pady-

szacha. Na ołtarzu Bóg zasiadał cały złoty, rubinami osypyany, niby gorącą rosą, wspaniały i łaskawy. Odmówiłam dziękczynne pacierze, z bryły serca zostawiłam u stóp Marii parę okrucichów na ofiarę... i poszłam. Wielu ludzi minęłam w kruchcie — Amerykanki ciągnęły sznurem i dystygowane damy francuskie dostojnie płynęły...

Tego lata znowu zabrnęłam na Montmartre. Była noc. Szli ze mną dwaj panowie; śpiewaliśmy głośno refren z „Vache enragée“. Uliczki biegły coraz mniejsze i coraz bardziej w górę rozpędzone. Jakies drzewo stanęło nam wprost drogi. Wreszcie oparliśmy się o mur nad urwiskiem. W dole jarzyło się miasto — czerwona rzeka światła płynęła nad dachami, w jej nurtach błyskały ogniste węże, pluskały się latarnie, jak ryby, i tysiącem głosów śpiewały syreny. Rzekłbyś: całe życie Paryża spłynęło tą rzeką, niby krew z rany. Kominy podobne były masztom na potwornych żaglowcach. Gdzieś pędziły fale i parą buchały, jak lawa. Pomyślałam: na której fali tańczy Parisys?

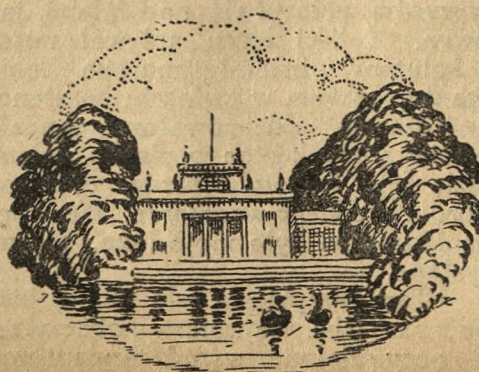
Zegary przypominały godzinę. Ruszyliśmy dalej. Uliczka weszła w sztachety, w parkany... Z nad płotów zajaśniała bazylika. Zielona w promieniach księżyca. U podnóża gmachu toczyły się jakieś roboty ziemne, więc teren tak był zasnut deskami, że wejścia znaleźć nie sposób. Po długim błądzeniu dopadliśmy drzwi — prowadziły w drewniany korytarz. Nikt wstępu nie bronił — dlatego szliśmy. Na zakończenie tunelu znowu drzwi bezbronne... Znalazłam się w bocznej nawie kościoła. Z wnętrza biła luna. Wionęło dziwnie i mirra. Olbrzymi jest ten dom. Więc miejsce, gdzie stałam tonęło w mroku, a od jądra bazyliki szły promienie, jak od wielkiego serca. Pusto. Kroki rozbrzmiały stukrotnem echem. Stąpając na palcach weszłam w sferę światła. Ołtarz palił się słodko — podobny czarno-księskiej lampie. Na łańcuchach kwitły tęczowe latarnie. W obłoku wonności krwawiła monstrancja; ciężkimi łzami płakały świece. Po nawach i krążgankach noc krążyła bezgłośnie, u stropu kłębiła się cisza.

Tylko w samym środku kościoła złota tajemnica szmerze, jak źródło nieustrudzone...

Na stopniach byli ludzie: trzech starców i chłopiec. Siwy pan miał twarz ślepca — stężała w olśnieniu. Czarne rękawy wyciągały się ku łasce. Reszta — patrzyła ponuro w krzyż, żądając cudu. Chłopiec zmęczone oczy osłaniał dłonią. Wszyscy mówili z Bogiem, który tej nocy nisko nachylił nad Paryżem miłościwe serce.

Wyszliśmy chyłkiem, niewidziani. Pomyślałam: jeśli Bóg udzieli cudu czuwającym samotnikom — może pochłoną fale zielonooką Tisbe...

Marja Kuncewiczowa.



MARJA DĄBROWSKA

JARZĘBINOWA ZIEMIA

II.

WSZECHOBECNA SPRAWA.

W pociągu, wlokącym się zwolna przez powabną dolinę Raduni w stronę Kartuz przysiadł się do nas pewien tamtejszy kolejarz. Bardzo przyjemnie jest porozmawiać z człowiekiem, który stoi sobie w samym środku rzeczy, będących dla nas kwestją. Naprzykład dla nas kwestja kolejnictwa, a dla niego suma osobistych przeżyć, żywych faktów, których dotyka własnymi, nieuczonymi rękoma, które sam stwarza.

I potrafi z nich nie gorzej od nas wyciągnąć wnioski, owszem bardziej krzepkie niż „my inisi” ze studjowania tych faktów na papierze.

Jeśli niezawsze ogarnia całość, to jest wyborną monografią stosunków — na pewnym odcinku życia.

Więc między innymi dogadało się do tego, co mieli ludzie pracujący tutaj przed wojną. Coraz mocniej akcentując pierwsze sylaby i przecagając nasz „Kaszuba” powiedział lojalnie, że teraz zaraz wszystkiego tego w Polsce nie może być. — Nawet bardzo dobrze, że na razie nie myśli się o tem, tylko o rzeczach ważniejszych.

Lecz dobrze jest wiedzieć i mieć na uwadze — więc wymienił nam różne miejsca, gdzie były nad niemieckim morzem kolonie dla ludzi pracujących, dla urzędników, dla kolejarzy ma się rozumieć też — i dla robotników. Kasy Chorych miały tam wszędzie „takie heimy, jakby powiedzieć letniska”. Kładli w to ciężki majątek, lecz było. I ludzie tam nie mieli byle jak, lecz piękny „jak to się nazywa — komfort”.

„Matrace” sprężynowe, tak jest, biała czysta pościel, woda zimna i ciepła, wszystko piękne — i niejednemu stamtąd się uczył, jak ma być w domu.

* * *

Z prostej rozmowy z kaszubskim kolejarzem wychyliło się nie mogące nas nigdy na długo porzucić — i zewsząd ku nam nadbiegające — zagadnienie społeczne.

Tym razem nosi ta wszechobecna sprawa tytuł Radłów nad morzem.

Radłów jest położony w najpiękniejszym miejscu zatoki, piękniejszym niż Kamienna Góra przy Gdyni, gdzie przecież powstało tak uroczne letnisko.

Ląd w tem miejscu wybiega cokolwiek dalej w morze swoim lesistym garbem. Z tak utworzonej radłowskiej kępy roztacza się niezmiernie

rozległy na trzy strony niejako widok — więc na Oksywie i morze za niem i na Hel, więc z drugiej strony na Gdańsk i Sopot.

Obecnie Radłów jest majątkiem państwowym i wielkim znakiem zapytania. Jako folwark, przez długie lata zapuszczony, daje zapewne problematyczne dochody.

Na parcelację nadaje się chyba tylko częściowo. Natomiast cała jego część, w stronie morza położona w sposób niezwykle, nadaje się na letnisko.

I Radłów został już pod tym względem poniekąd wypróbowany. Od trzech lat jeden z jego budynków gospodarczych został przerobiony dość zręcznie na pensjonat na kilkadziesiąt rodzin. Ten pensjonat jest wydzierżawiony przez Państwo na letnie miesiące Spółdzielni Urzędników Ministerstwa Reform Rolnych.

Poza członkami Spółdzielni, o ile okaza się miejsca, mogą korzystać z letniska inni pracownicy państwowi. Lecz to jest oczywiście nie dosyć i niema też żadnej racji, aby urzędnicy tego Ministerstwa, w którego zarządzie jest majątek, byli z tytułu tego faktu sami jedni uprzywilejowani. — Dobrze jest, że oni właśnie tę rzecz wypróbowali, że stać ich było na piękną inicjatywę. Można temu tylko przyklasnąć. Lecz teraz rzecz nie może stanąć w martwym punkcie.

Piękny Radłów nie może leżeć niewyzyskany nad morzem, nad morzem, nad którym rzeźka inicjatywa prywatna wyzyskuje już daleko gorsze, daleko mniej warunków mające miejsca. Nie może być też bez końca przedmiotem hamletycznych wahań, jak go użytkować — i terenem mniej lub bardziej niefortunnych projektów. — Radłów powinien stać się pięknym letniskiem dla ludzi pracy, a zwłaszcza miejskich ludzi pracy.

Kooperatywy urzędników, inteligencji pracująca, związki zawodowe, kasy chorych i związki stowarzyszeń spożywców — powinny obrócić swoje oczy na to czarowne miejsce.

Te to właśnie zgromadzenia pracujących powinny przyjść tutaj jako

przedsiębiorcy nowego rzędu. Powinny przyjść tu ze swoją inicjatywą, ze swoją zbiorową wolą, ze swymi pieniędzmi.

One tu powinny pobudować domy zdrowia, domy letnie dla dzieci, wille piękne i pensjonaty nadbrzeżne.

Na wzgórzach za lasami dość jest miejsca, by to zrobić, a nadto jeszcze założyć ogrody, boiska, place sportowe. Początek jest zrobiony, jedna kooperatywa wysunęła już tam swój czołowy posterunek. Niech inne się do niej zwrócą i z nią w tej mierze porozumieją. Nadchodzą teraz długie miesiące zimy, w czasie których można to przemyśleć, zobaczyć, przygotować. Państwo chyba z całej siły poszłoby na rękę tym usiłowaniom, wydzierżawiając grunt, ułatwiając nabycie i produkcję budulca (cegły). Naturalnie dla nas wszystkich, którzy mieliśmy szczęście korzystać z Radłowa takiego, jaki on jest dzisiaj, gdy mieliśmy tam dobry pensjonat i szczerą, głuchą przecudną wieś — ta jego zamiana w ludne uzdrowisko — byłaby cokolwiek nie po myśli.

Lecz takim, jak jest dzisiaj Radłów i tak nie pozostanie.

Naiwni byłiby ci dzielni przedsiębiorcy, którzy stworzyli Kamienną Górę i wciąż ją rozszerzają, gdyby nie obrócili oczu na Radłów, jeśli go już nie mają na myśli.

A jeśli nie oni, to prędzej czy później przyjdzie do rządu inne konsorcjum, przyniesie słone pieniądze i Radłów niepostrzeżenie przekształci się na coś, co będzie bardzo ładne, ale co będzie tylko dla ludzi bogatych.

A w Polsce bogatych ludzi jest mało i długo jeszcze będzie ich mało. A ludzi biednych i pracujących jest dużo — cała Polska. — I potrzebują oni dużo zdrowia, dużo siły, i także oprócz kłopotów troszeczkę radości.

Poszczególne nikt z nich nie ma pieniędzy, lecz mają swoje związki, kasy chorych, spółdzielnie.

Jeśli te instytucje nie są tylko mechanicznym zbiorem ludzi — ale istotnie zawiązkiem „nowego świata pracy” — to powinny tu przyjść, przynieść ze sobą te same walory, co indywidualni przedsiębiorcy, tylko jeszcze wzmocnione.

To jest praca nie na jeden rok, długa i mozolna, lecz za to praca, której rezultaty rozświetlą życie tysięcy ludzi.

Tych ważnych, ważnych ludzi, którzy ciężką pracą rąk i umysłu stwarzają cywilizację, na to, aby nie móc prawie wcale korzystać z jej dobrych stron.

(c. d. n.)



Z MOJEGO DOMU

ANNA ZN. SZCZEPAŃSKA

DZIEŃ I NOC

Tyle rzeczy mię czeka dziś! Książka zaczęta,
na najciekawszym miejscu urwana w pół słowa,
pachnąca rozkosz polną niedzielного święta...
Wstałam rano. Jak świeżo! Wypoczęta, zdrowa,
tyle wzruszeń mię czeka: głosiki dziecięce
już nazwały mię słodkim imieniem — a oto
codzienne przy nich trudy proszą się na ręce
nie strudzeniem, lecz raczej uciechą, pieśczętą!
Dom mój naścież otwarty, wykadzony wiosną
Gościa czeka milego... Pana... Przyjaciela...
Ach, tylko zdążyć narwać tych kwiatów, co rosną
przez dzień cały na ścieżkach mojego wesela!
Zagłębić ręce, oczy i duszę i serce
w codziennej świętej orce na ziemnym zagonie —
... Byle nie tonąć znowu w straszliwej rozterce,
rozwiażdżonego nieba, w którym Bezmiar plonie!

TRWOGA

Moja mała, moja słodka dziewczyna coraz częściej mi
się zwierzać zaczyna. Nie wie sama, że w jej duszy dziecięcej
codziennie marzeń codziennie tęsknot jest więcej... Że najpierwsze,
jak sen zwiewne, porywy z niewiadomej ku niej lecą z oddali,
że w dziecięcej jej istocie szczęśliwej pierwsza iskra już mło-
dości się pali...

...Sama nie wie... tak jej czasem żalosi się
coś w niej jakby się podnosi, czy rośnie...
jakby tęskno... jakby coś się gdzieś stało...
jakby czegoś w niej czy przy niej za mało...
Słucham — serce bije w piersi na trwogę!
Dotąd moja ona była — a oto blizki czas już,
kiedy pójdzie w swą drogę... sama z bólem swym...
z walką, z tęsknotą...

SZARA GODZINA

W szarym zmierzchu, przed wieczerką, siadamy wszy-
scy na kanapie. Starsi, po bokach, przytuleni, mała się na ko-
lana drapie. Trochę swarów i zazdrości, czasem się nagła
bitka wznieci: malcy chcą zawsze być najbliżej — Anulka wo-
ła: „ach te dzieci“! Lecz wreszcie jakoś każde siedzi i znany
trójsław się rozlega: — Mamusiu, bajkę! — Tę co wczoraj! —
Nową!... Zaczynam pierwszą z brzegu. O tem, o owem baśń
się wije, lecz wiem już naprzód, gdzie zmierzamy... Opowiedz,
jak ty byłaś mała!... trójca przymila się do mamy... I mama
dawne wskrzesza dzieje, budząc niezmierny szal uciechy! Ile
to wzruszeń, ile zdumień! Jakie okrzyki! Co za śmiechy!
Wszyscy bawimy się jednak, o całym zapomniawszy świecie...
I głowę daję, że ze świecą szczęśliwszej czwórki nie znaj-
dziecie!

MOJE POCIECHY

Mam dziewcząt dwoje i chłopaka: trójeczkę, trzy po-
ciechy. Troje par oczu, żywych, jak skry, w których naprze-
mian — radość, lub łzy, troje ust, noski ciekawskie trzy i trzy
srebrzyste śmiechy!

A ta najstarsza rośnie, buja, już sięga mi po ramię...
a chłopak oczy poważne ma, lecz figlów tysiąc na pamięć zna;
zasię najmłodsza, pieszczocha ta — na głowie siedzi mamie!

Coprawa — każde na swój sposób potrafi zażyć matkę:
od czegoż oczy, zaloty, minki, buta chłopczyńska, urok dziew-
czynki? Serce matczyne na wosk topnieje, gdy wejdzie w swą
gromadkę...

Na śmierć, na życie połączeni pustotą, śmiechem, łzami —
codziennie idziemy zdobywać świat! Jeden wie tyle, co drugi
zgadł, a nikt nie może być przeciw nam, gdyż wnet jest ka-
dy z nami!

TAJEMNICA

Widzę zdaleka — tkwi to wszystko nad jakimś cu-
dem, ukrytym w trawie. Cisza. Przejęci, skupieni... patrzą...
Coż tam nowego? myślę ciekawie. Podchodzę dróżką, od słoń-
ca złotą — i wnet trzy głosy: — Mamusiu, co to? —

O, wiecznie żywe źródło wszechwiedzy! Mądrość w mat-
czynym skupiona słowie! Trzy pary oczu, ufnie wzniesionych...
Cóż? wie to matka, ale nie powie... Główni uparte znowu się
chyliły, śledząc wśród kwiecia rozkosz motyla...

I tak stoimy. A tajemnica, dla mnie „wiedzącej“, tylko
zakryta! Im wystarczyło rzucone słowo: już patrzą tylko, ża-
dne nie pyta... Oni już „wiedzą“, wierzeniem świętem — ja
teraz stoję przed Niepojętem.

MİŁOŚĆ

Nie jesteś całkiem moja i wcale nie obca:
Patrzę na Ciebie okiem kobiecym, matczynym,
A czasem młodej dziewczyny... lub... chłopca...
Każdy wdzięk twego ciała znam, każdy nerw duszy,
A jednak nie mam ciebie w swej mocy do głębi,
Bo zawsze coś nowego mnie w tobie poruszył!
Znam na pamięć twe rysy, twoje włosy, oczy,
Wiem naprzód, co cię zdziwi, zasmuci, zabawi —
A coraz nowy szczegół spostrzegam uroczy...
I gdy wiem — patrzę z wielką miłością matczyną,
A gdy nagle spostrzegę — to patrzę na Ciebie,
Jakbym sama znów stała się młodą dziewczyną.
A czasem, czasem..., wybac, że ci to wyjawię,
mój ty kwiecie niewinny — czasem ciebie widzę,
Jak cię kiedyś zobaczy... mężczyzna...

...tak prawie!

I zawsze cię miłuję: jak część swej istoty,
Jako boski twór piękny, jako źródło mocy,
Jako wcielenie własnej i twojej tęsknoty,
Jak dnia światło najmiłsze i marzenie nocy...

G U S T A V E D R O Z

K O L A C Y J K A U M O J E J Ż O N Y

Tego wieczoru — a była to wigilia Nowego Roku — mróz był siarczysty, śnieg padał wielkimi płatami, i niesiony wiatrem, bił o szyby. Przechodnie, owinięci w płaszcze, szybko posuwali się wzdłuż domów, chyląc głowy przed podmuchami zamieci.

A ja tymczasem, przyodziany w w szlafrok, wybijałem marsze na szybie i uśmiechałem się do przechodniów zziębniętych, do wichru, do śniegu, z miną szczęśliwą człowieka, który znajduje się w ciepłym pokoju i na nogach ma ciepłe pantofle, podszyte flanelą, których podeszwy toną w gęstym dywanie.

Przed kominkiem, żona moja coś szyła, uśmiechając się do mnie od czasu do czasu, nowa książka czekała na stoliku, a polana ogniska trzaskała wesoło.

— Nic niema głupszego nad minę przechodnia, drepcącego w śniegu, nieprawdaż? powiedziałem do żony.

— Cicho, szepnęła i odrzuciwszy nożyczki, trzymane w ręku, zaczęła przyglądać się swej robocie, pocierając brodę wysmukłymi, różowemi paluszkami, zaokrąglonemi na końcu.

— Powiadam, że absurdem jest włożyć się po chłodzie, gdy tak łatwo zostać w domu przed kominem.

— Cicho!

— Cóż u djaska robisz tam tak ważnego?

— Wykrawam dla ciebie parę szelek: I pochyliła się znów nad robotą, lecz ponieważ głowę miała spuszczoną, ujrzałem, przechodząc, biały aksamit jej szyjki, odsłoniiony wskutek wysokiego upięcia włosów. Cała moc loczków jasnych wyla się swobodnie na szyi. Przypomniały mi się dojrzałe brzoskwinie, nieprzeparcie pociągające usta. Zbliżyłem się, aby widzieć lepiej... i ucałowałem karczek swej żony.

— Panie... wykrzyknęła Ludka, odwracając się nagle.

— Panil... odpowiedziałem, i wybuchnęliśmy oboje śmiechem.

— Co tam! w Sylwestrowy wieczór!...

— Pan usprawiedliwia się?...

— Pani się skarży?...

— Tak, skarży się, że wigilia Nowego Roku nie wzrusza cię wcale. Dźwięk dzwonów Notre Dame pozostawia cię zimnym, a przed chwilą, gdy latarnia magiczna przeszła pod oknem, spojrzałam na ciebie z nad roboty: byłeś zupełnie obojętny...

— Obojętny na widok latarni magicznej!... Ach! kochanie! jakże surowo mię sądzisz!...

— Tak, tak, żartuj zdrów!... Prawdą jest niemniej, że wspomnie-

nia lat dziecinnych nie istnieją dla ciebie!...

— Słuchaj, maleńka, czy chcesz abym idąc spać — postawił swe trzewiki w kominku? czy może mam zawołać jegomościa z latarnią magiczną i wyszukać mu duże prześcieradło i kawałek świecy, tak jak to robiła moja biedna mama? Widzę ją, gdy mu powierzała bielutkie prześcieradło. „Nie zróbcie mi przynajmniej dziur” prosiła. A my klaskaliśmy w dłonie z uciechy wśród tej ciemności tajemniczej! Pamiętam wszystkie te minione radości, kochanie moje! Ale rozumiesz od tego czasu przeżyło się tyle innych rzeczy! Inne przyjemności zastąpiły tamte!...

— Tak, tak, rozumiem, przyjemności kawalerskie! Słuchaj, pewną jestem, że poraz pierwszy spędzasz wieczór Sylwestrowy w szlafroku, przed kominkiem, bez kolacyjki; bo chodziłeś na kolacyjki!...

— Nie tak bardzo...

— Chodziłeś, przysięgłabym na to.

— Może i byłem raz czy dwa, nie pamiętam... Tak z kolegami, rozumiesz? Kasztany pieczone za kilka groszy i...

— I szklaneczka wody z cukrem?

— Ano, mój Boże, coś w tym rodzaju! Wszystko, to było bardzo proste: zdaleka to robi pewne wrażenie! Rozmawiało się troszkę i szło się spać!

— I mówi to bez zająknięcia! Jakoś nigdy mi nie wspominałeś o tych przyjemnościach, pełnych prostoty...

— Tak było, jak ci mówię. Pamiętam jednakże wieczór jeden dość wesoły. Zebraлиśmy się u Ernesta, który grał ładnie... Pozwól mi poprawić ogień... Coprawda, już jest dwunasta i ludzie rozsądni...

Ludka wstała i skoczyła mi na szyję.

— Otóż ja nie chcę być rozsądną i chcę zatrzeć te wszystkie wspomnienia o kasztanach i wodzie z cukrem... Poczem wepchnęła mię do mego gabinetu i zamknęła na klucz.

— Ależ, kochanie, co ci się stało? pytałem przez drzwi.

— Proszę o dziesięć minut cierpliwości, nie więcej: Twoja gazeta na kominku, jeszcze jej dziś nie czytałem. Tam w kącie masz papierosy i zapalnik.

Dochodził do mnie dźwięk szkła i porcelany, stawianej na stole, potem jakiś szelest jedwabiu... Co mojej żonie strzeliło do głowy?...

Ludka przyszła wkrótce otworzyć mi drzwi.

— Nie gniewaj się za to, że cię zamknęłam. Spójrz jak się wystroiłam! Czy poznajesz ulubione swe

uczesanie? włosy wysoko upięte i szyja odkryta. I nie tylko szyja! musiałam włożyć suknię wyciętą wobec uroczystego faktu, że mam spożywać kolację z władzą swoją!...

— Jakto?

— Ależ oczywiście, mam jeść kolacyjkę z tobą! Czyż nie widzisz tej iluminacji, stołu pokrytego kwiatami i całą masą smakołyków? — Wszystko to miałam zawczasu przygotowane w alkwie, ale na to, aby przysunąć stolik do kominka i ubrać się, chciałam być sama, rozumiesz? To wino — to Chambertin. No, niechże pan raczy zająć miejsce. Głodna jestem jak wilk. Czy mogę służyć skrzydełkiem kurczęcia?

— Pomysł twój bajeczny, maleńka moja, ale wstyd mi doprawdy... jestem w szlafroku!

— A to zdejść go, jeśli ci przeszkadza, ale nie pozostawiaj mię z tem skrzydełkiem kurczęcia na widelcu. Sama będę ci usługiwać.

I powstawszy, zarzuciła serwetę na ramię i podniosła rękaw aż za łokieć:

— Czy nie tak robią kelnerzy?

— Najzupełniej tak samo; ale pozwól przynajmniej mój kelnerze, że ucałuję ci rączki.

— Nie mam czasu, odpowiedziała śmiejąc się i odważnie wsunęła korkociąg w szyjkę butelki. Chamberlin! ładna nazwa! Pamiętam, że przed naszym ślubem — oj! do djaska! jakież ten korek twardy! — mówiłeś mi kiedyś, że lubisz to wino, bo przypomina ci komedię Alfreda de Musset, której czytać mi nie dałeś swoją drogą. Czy widzisz te dwa kieliszki z czeskiego szkła? Kupiłam je umyślnie na dzisiejszy wieczór! Będziemy z nich pili swoje zdrowie...

— Za jego także, nieprawdaż?

— Przyszłego spadkobiercę? Biedactwo kochane! oczywiście, że tak!

— A potem schowam te kieliszki aż do przyszłego Sylwestra. Co roku, będziemy spotykali Nowy Rok w ten sposób, kolacyjką przed kominem, we dwoje; i to aż do najpóźniejszej starości naszej:

— A gdy nie będziemy mieli już zębów, moje biedactwo kochane?

— To na kolację przyrządzimy sobie doskonałe zupki... Będzie to także bardzo miłe... Daj mi jeszcze kawałeczek pieczonego — z galaretką. Dziękuję ci.

Gdy mi podawała swój talerz, ramię jej wysunęło się z koronek.

— I czemu zaglądasz do mego rękawa, zamiast zająć?

— Przyglądam się twojej rączce, kochanie. Czy wiesz, że wyglądasz dziś czarująco?

— Cóż dziwnego? Gdy się wyrusza na podboje...

— Jakaś ty milutka, dziecinko!

— Czyż istotnie dziś wieczór wydaję ci się milutką, czarującą i tak dalej?... W takim razie — tu spuściła oczy, uśmiechając się do swej bransoletki — w takim razie... nie rozumiem czemu...

— Czego nie rozumiesz, ty kochane maleństwo?

— Nie rozumiem... czemu nie przyjdiesz ucałować mnie?...

A ponieważ pocałunek przedłużał się, zaczęła wołać, wśród wybuchów śmiechu, odrzucając główkę i pokazując mi podwójny rząd białych zębów:

— Ostrożnie, mążusiu, ostrożnie! Zbijesz mój kieliszek z czeskiego szkła, owoc moich oszczędności! Zawsze zdarzają się nieszczerstwa, gdy chcesz mnie całować! Czy przypominasz sobie, na balu u pani Brill, dwa dni przed naszym ślubem? Rozdarłeś mi suknię, walcząc w małym saloniku?

— Bo dziwnie jest trudno te dwie rzeczy połączyć: tańczyć nie tracąc taktu i całować tancerkę!...

— Pamiętam, że gdy mama spytała mnie, w jaki sposób rozdarłam suknię, poczułam, że czerwienię się po same uszy. A pani D.... ta stara czarownica, mówiła mi ze swym uśmiechem wielkopostnym: „Jakież masz dziś ładne rumieńce, moje dziecko!...” Byłabym ją udusiła! Odpowiedziałam, że zaczęłam suknię o ćwiek we drzwiach. Z pod oka spoglądałam na ciebie: szarpałeś wąża z miną wściekłą.

Zabierasz sobie wszystkie trufle; miły jesteś, niema co!

Nie, nie chcę tej; daj mi tę dużą, czarną, tam w kącie półmiska... Z tem wszystkim, nie było to ładnie z twojej strony, bo ostatecznie... O, nie tak pełno, mążulku, ja nie chcę się upić... Bo ostatecznie, gdybyśmy się nie byli wcale pobrali? Przecie to mogło się zdarzyć. Wiesz, powiadają czasem, że małżeńskie projekty wiszą na włosku. Otóż gdyby ten włoszek się urwał, pozostałabym panną z tym pocałunkiem na ramieniu. Piękna rzecz!...

— Co tam! To plam nie zostawiał!...

— Owszem, proszę pana, to zostawia plamę, przepraszam bardzo — to do tego stopnia zostawia plamę, że są mążowie — tak słyszałam — którzy krew swą przelewają, aby zmyć te małe plamki!...

— Ależ ja żartuję, kochaniel!... Przecież nie przypuszczasz... ach nie! do kroćset!...

— O tak dobrze! Lubię gdy się unosisz! Jesteś nieco zazdrosny, panie mążul!... O! tego za wiele. Jakiś proszę cię o tę dużą, czarną — a ty ją zjadasz!

— Przepraszam cię stokrotnie, zapomniałem się...

— Tak zupełnie jak w merostwie, gdy byłam zmuszona trącić cię, abyś odpowiedział: tak! — na życzliwe pytania pana mera.

— Życzliwe!...

— A tak. Wydał mi się nad wyraz uprzejmy, ten pan mer! Trudno większej kurtuazji, niż ta, z jaką mnie spytał: „Czy pani życzy sobie pojąć za małżonka tego wielkiego brzydala, który stoi obok pani?” Miałam ochotę odpowiedzieć: „Porozumiejmy się, panie merze. Sprawa ta przedstawia zarówno złe jak i dobre strony. (Ło-na moja śmieje się z całego serca) — Oj! omal, że się nie udławiłam! Żle zrobiłam wówczas, że nie porobiłam różnych zastrzeżeń. Za twoje zdrowie, mążusiu. Dokuczam, to szkaradnie z mojej strony. Wierz mi, mój złoty, że powiedziałam: „tak!” z całego serca i znalazłam, że to jeszcze za słabe wyrażenie. Kiedy pomyślę, że wszystkie żony, nawet złe, wymawiają to słowo, to wstyd mi, że nie zdo-bylałam się na inne... A teraz wypijmy jeszcze za nasze złote wesele!...

— I na intencję jego chrzcina, mamusiul!...

— Powiedz, spytała cichutko, czy nie żałujesz, żeś się zemną ożenił?

— Żałuję, odpowiedziałem śmiejąc się i całując jej ramię.

Zdaje mi się, że odnalazłem plamkę, to było tu...

— Mążusiu, już jest druga godzina, ogień na kominku gaśnie i czuję... będziesz kpił zemnie... że kręci mi się trochę w głowie...

— Pyszna była nasza kolacyjka, co?

— Bajeczna!...

Z francuskiego tłumaczyła M. D.

21)

HELENA CEYSINGERÓWNA

D R O G A M I D U S Z Y

(p o w i e ś ć)

ROZDZIAŁ XIV.

WIDMA i POKUSY

Od pewnego czasu chodzi za Wandą cień dziecka, dziecię — sen. Wieczorami, gdy wraca z lekcji, idzie to za nią... i płacze. — Przyplątało się... takie maleńkie, o ciemnych oczkach, podobnych, ach podobnych do czyichś tam... znajomych jednej, dalekiej wiosny...

Jej syn!...

Onaby kolebkę jego oplotła kwiatem najcudniejszych snów...

On miałby cnotę Kościuszki, świętą nieugiętość Szymona Konarskiego i Juljuszową, genialną tęsknicę...

Wódz narodu! i najkorniejszy z jego sług! On miałby siłę wskrzeszania umarłych i cudotwórstwo dziejowego czynu...

Jej syn!...

Tuliłaby, pieściłaby ciało — kwiat!... I nie odeszłaby z tej ziemi,

jak liść jesienny, wichrem śmiertelnym gnany, sam...

Z nim i przez niego szłaby w przyszłość swego narodu...

Ale to się nie stanie... nigdy!

Jej życie? — szlak pustynny.

Jej dom? — chyba ta trumienka drewniana!

A to idzie i płacze... Ot, przyplątało się!

Ach, ten duszek chce żyć!...

...Uśnij maleńki! Synu mój, śpij! Przyśni się tobie szeroki step. Hej, kwietny step!...

...Ze stepu konik przybieży siwy... Białonogi od stepu leci koń... rozwiana grzywa — dla ciebie koń! Przez zieleń traw, przez kwietną błon do ciebie pędzi — do ciebie...

Śpijże, dziecińo, niech ci sięśni, wnuku hetmanów, powstańcze

dziecię, niech ci sięśni piór orlich szum i szabli błysk... niech ci sięśni...

Wyciągniesz rączkę, konik przystanie... i rzeniem ciebie powita... Wnuku hetmanów! Oto zaranie! Dni przyszłych zorza już świta...

Siądziesz na konia na białonóżkę... i w świat popędzisz daleki!... za siedem gór, za siedem mórz...

Lećże, dziecińo, ścigać twój sen... do nieba bram... a leć... do śmierci bram...

— Jeszcze siedzisz przy nim?! Ależ on śpi już dawno! Chodź, zobacz, jaki śliczny kupiłam kapeluszek...

I Ninka ze sprawunkiem swoim przeszła do stołowego pokoju, a Wanda ocierała pospiesznie twarz, zalaną łzami...

Szalona! O szalona!...

Cudzem dziecku śpiewała, jak swemu...

W owych to dniach pewnego, jesiennego wieczoru do drzwi Wandy zapukano z lekka... otworzyła:

We drzwiach stał pielgrzym w zakonnych szatach, sznurem przepasany, w sandałach na nogach... ale twarz była ta sama...! młodzieńcza! o złotawym odcieniu... te same oczy, pełne promieni, ten sam przeduchowiony czar uśmiechu...

— Jan! — krzyknęła — Boże!

— Niechże będzie pochwalony! W imię Boże przychodzę do ciebie...

Nigdy już potem przypomnieć sobie nie mogła, co było dalej... Jakimś osobliwym czarem, chwila następna, jakby się gdzieś zapodziała — jakby ją ukradły złośliwe demony...

Dopiero znacznie później — tak jej się zdawało — spostrzegła, że są na środku pokoju — że drzwi ktoś zamknął...

Pokój Wandy oświetlony był tylko kominkowym, przygasającym ogniem.

Wrzeszcz ujął obie jej ręce, pociągnął ją z lekka ku ognisku, i spragniony utonął w jej twarzy, w oczach... jakby przypominał, jakby rozpoznawał... jakby poił się z dawną upragnioną wodą ochłody...

— Nie przyszedł ukochana! — rzekł cichym, głębokim tonem — niby kończąc, zaczęta przed wielu laty rozmowę. — Nie zakwitł jeszcze kwiat lotosu! Czekałem i... nie doczekałem się...

Jej wzruszenie tamowało mowę, wzruszenie takie dziwne, z tylu elementów złożone: radość bezmierna i gorycz, i żal straconych lat, i jakiś odległy bardzo, bardzo jeszcze daleki, prawie niewyczuwalny smutek!

— Czy naprawdę? — Czy spodziewałeś się, że przyjdę?

— Ach tak! I była mi nadzieja ta dzwignia w ciężkim, zaiste, trudzie mego żywota.

Puścił jej ręce, a ona oparłszy się o kominek, mówiła cicho ze spuszczonej oczyma.

— Ja nie mogłam przyjść, Janie, bo ja nie byłam tą, za którą mnie brałeś. I to muszę ci powiedzieć zaraz, w pierwszej chwili naszego spotkania. Nie trzeba, żebyś się ludzi! Zwyczajny, prosty ze mnie człowiek, o taki, jak wszyscy!... i kocham w sobie tę prostotę i pospolitość... i nie chcę być niczem więcej, niczem innym... tylko cichą, nieznaną pracownicą... dla przyszłości mego kraju...

On zaprzeczył ruchem głowy i uśmiechem.

W tej chwili zauważyła Wanda, że gość jej jest przemoczony deszczem i zziębnięty. Posadziła go przy ogniu, dorzuciła drewna do kominka i zajęła się przygotowaniem herbaty.

Jan siedział, patrzył w ogień i milczał.

Ten moment milczenia uciszył wszystkie, rodzące się już między nimi, dysonanse.

W tym mrocznym pokoju, rozświetlanym od czasu do czasu języcznymi płomieniami stało im się ze sobą tak niesłychanie dobrze, tak przedziwnie cicho, jak z nikim, jak nigdzie na świecie...

Biorąc z rąk jej szklanek herbaty, rzekł pielgrzym:

— Będę ją pił, jak święty napój bogów, bo z twoich rąk — w twoim domu...

Przysunęła krzesło i siadła po drugiej stronie kominka. Chciała o coś pytać, chciała się dowiadywać o jego losy, ale on nawrócił do poprzedniej rozmowy.

— Nie przyszedł! — powtórzył — nie ukazałaś mi się w fizycznym twoim kształcie, nie raczyła zstąpić do mnie świadomość twoja, lecz gdy zmysły i myśli spoczywały w uśpieniu, dusza twoja przychodziła...

Pytające, lecz niezdziwione spojrzenie utkwiała w jego oczach.

— Widziałem ją kiedyś wśród lodowców Tybetu... szła w noc miesięczną, drożyną nadskalną... utkana była z promieni przedziwnej barwy, coś niby błękit, rodzący gwiazdy złote...

Było to czterdziestej nocy pokuty mojej, gdy na klęczkach z ramionami, wyciągniętymi w niebo i duszą napiętą, jak struna, wołał o światło... przyszedł błękitny kwiat twojej duszy i cicho przemknął obok mnie.

— Co za obraz! Janie, ty byłeś i jesteś poetą!

— Niel! Niel! To nie twój poetycki wyobraźni! To rzeczywistość! I zaraz ci tego dowiodę. Dusza twoja przychodziła nieraz i skarżyła się Wando, że tłumisz jej życie, że nie pozwalasz lotu... Czy ty nigdy nie słyszysz jej skargi?...

— Słyszę — odrzekła cicho — ale nie może być inaczej!

— Czemu?

— Ach, ty tego nie zrozumiesz, a raczej, nie uznasz! Są głosy inne — silniejsze! Są rzeczy droższe mi, od mojej duszy!

— Czy nie sądzisz, że właśnie dla tych umiłowanych celów twoich trzeba, by dusza twoja rozwinęła skrzydła jak najszerzej, jak najlotniej?...

— Tym celom trzeba pracy wytężonej, cichej, przyziemnej, pracy rolnika czy siewcy... trzeba w pokorze ciągnąć taczkę i nie ustawać w trudzie... kiedyś, po nas... przyjdą może inni...

— To nieprawda! — zawołał, a oczy napełniły mu się złotem światłem — To nieprawda! Każdy wielki cel, choćby tylko ziemski, osiąga się jedynie do ostateczności posunięciem namiętności sił duchowych!

Powstał i cień jego fantastyczny, obcy w tem otoczeniu, snuł się po pokoju przy przeblaskach dogasającego żaru...

Wanda zamyśliła się głęboko. Z zadumy wyrwał ją głos Jana.

— On nie jest robaków panem i tego stworzenia, co pełzał... „On lubi huczny lot olbrzymich ptaków. I rozhukanych koni on nie kielzał.“ — wszak to twój mistrz, nie mój...

— Ach, są chwile, gdy i jaskółka musi latać przy ziemi, ale to nie przeszkadza jej potem wzbić się pod chmury.

— Tak! Tak! Tylko o to chodzi, żeby nie zatracić skrzydeł!... żeby znać siebie samego. Nie każda dusza, widzisz, jest jasnością błękitu znaczonej... i ty, choćbyś chciała nawet, nie możesz być taką, „jak wszyscy“ — i nie powinnaś być! na wszystkie polskie bogi! Jesteś inna! Duszy takiej, jak twoja, potrzeba tylko samotności i ciszy, skupienia — potrzeba pewnych ćwiczeń, by uzdolniła się do bardzo wysokich lotów, by rzuciła się na dusze ludzkie żarem natchnienia, zarazą uczuć, by zdobyła władzę nad wiecznie falującym elementem myśli ludzkiej... by stała się potęgą...

— Ach, kusiś mnie, jak czart Chrystusa... — zażartowała.

— Wołam cię! Wołam cię na szczyty z tych padołów pokory...

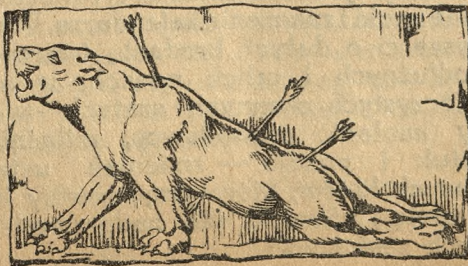
— W pokorze jest także siła, wiesz. I... „błogosławieni cisi, albowiem oni odziedziczą ziemię!...“

— Nie! nie w pokorze samej przez się, ale w pokornym wznoszeniu się wzwyż.

— Nieustępliwy jesteś!

— Tak, przyszedłem, by porwać cię za sobą, ale nie będę cię namawiał, nic ci narzucać nie będę. Zapytam — jeśli odmówisz... odejdę sam... Ale nie dziś! Dziś nie, nie mów ukochana! Nie odpowiadaj! Mam czas...

I długo w noc wspominali już tylko pierwsze godziny miłości swojej, mówili o tęsknotach rozłąki, o szczęściu kochania, o przedziwnej pieśni dwóch dusz...



ATLANTYDA*)

Na oceanie — przed wiekami — była wyspa — „ogród bogów”. Sprzeczą się uczeni po dzień dzisiejszy o położenie jej i czas, w którym zniknęła. Poświęcili jej prace swoje wybitni teozofowie współcześni i przedwspółcześni, jak: W. Scot, Elliot, Bławatska, Schuzé i inni, nazywając ją „wyspą wtajemniczonych” i roztaczając obrazy cudów jej przyrody, cudów życia, cudów najwyższej doskonałości duszy ludzkiej.

Pierwszy o tej boskiej krainie wspomina Platon.

W ciągu jednego dnia i jednej fatalnej nocy zniknęła — według niego — w otwartych czeluściach oceanu ta przedhistoryczna ziemia, zostawiając po nad bezdenną głębiną tyle mułu, że nie można zbadać po dzień dzisiejszy miejsca katastrofy, żeglarze bowiem napotykać nieprzezwyciężone przeszkody.

Geologowie współcześni zapatrują się na tę sprawę inaczej. Przyjmując w czasach przedhistorycznych istnienie olbrzymiej Atlantidy, twierdzą jednak, iż zniknęła ona nie nagle, lecz rozkawałkowała się stopniowo pod wpływem strasznych kataklizmów, ostatnią pozostałością jej zaś była owa Atlantyda, o jakiej pisze Platon, państwo bronzu, wyspa bogów saturnicznych, ludów cywilizatorskich, bronzowo lub czerwono-skórych o drobnych rękach, których główne dialekty — daleko starsze od sanskrytu — pozostawiły prawdopodobny ślad w narzeczeniach berberyjskich i amerykańskich. Ten wielki świat przedpotopowy żył, zdaje się, mętnym wspomnieniem we wszystkich religjach pierwotnych.

Czy zbadamy go kiedykolwiek?

Amerykanin Donelly, pisząc o Atlantydzie, twierdzi, że zaledwie zaczynamy teraz rozumieć przeszłość. Sto lat temu świat nic nie wiedział o Herculanium i Pompei — nic o więzach językowych, łączących narody indo-europejskie — nic o znaczeniu olbrzymiej doniosłości napisów na grobowcach i świątyniach egipskich, dziś tak jasnych dla nas — nic o piśmie klinowym w Babilonie — nic o cudownych cywilizacjach, których pozostałości objawił nam Jukatan, Meksyk, Peru.

„Jesteśmy u progu wiedzy. Badania naukowe idą naprzód krokiem olbrzymów. Kto może twierdzić, że za lat sto wielkie muzea światowe nie będą ozdobione posągami, orężem i narzędziami Atlantów, a księgarne świata całego nie podadzą

tłumaczenia ich napisów, rzucając nowe światło na całą historię przeszłych ras ludzkich i na wszystkie wielkie zagadnienia, które wywołują zakłopotanie myślicieli dni naszych?”

Świat Atlantidy — według Rogera Dévigne — tworzy most między czasami przedhistorycznymi, a epoką pierwszych przebłyków cywilizacji tak samo, jak świat rzymski między światem starożytnym a współczesnym.

Atlantyda zajmowała prawdopodobnie przestrzeń między północno-zachodnią częścią Afryki i południowo-zachodnią Europą a wschodnią częścią Ameryki, przyczem najdalszy kraniec wysp jej z jednej strony — od wschodu — był bliski Portugalji, z drugiej strony — od zachodu — obłany był morzem Antylskim. Skutkiem potężnego zapadania się zniknęły wyspy i lądy, a niektóre może nie tak dawno, może już za istnienia człowieka. — Jedne prawie nagle, inne szybko, ale nigdy w ciągu chwili, jak sądzi Platon.

M. Morgan przypuszcza, że za pośrednictwem Atlantidy lub może innej jakiejś ziemi zaginionej łączył się nowy świat (Ameryka) z naszą starą Europą.

Atlanci żyli w okresie bronzu. Ostatnimi przedstawicielami tej epoki długi czas po pochłonięciu Atlantidy byli: Daktylowie, Kabirzy z Archipelagu, Etruskowie z Tyrenji, najstarożytniejsze plemiona Krety i Jukatanu, metalurzyści meksykańscy, libijscy, egipscy.

Królowie atlantcy — według Platona — panowali na całej największej wyspie, jak również i na kilku pomniejszych. Władza ich sięgała niektórych części lądu stałego amerykańskiego i Lybji aż do Egiptu, a nawet rozpościerała się nad zatoką Tyreńską.

Dzieje religijne Atlantów ciągną nad całą historią religii starożytnej i prawie nie można byłoby pojąć jej, nie przypisując źródła powstania apostołom atlantckiej kolonizacji.

Uczeni, zajmujący się najstarożytniejszą historią, utrzymują jednomyślnie, że wśród ludów Afryki, Europy, Azji, Ameryki na jakieś 10 do 6 tysięcy lat przed naszą erą pojawiali się obcy zdobywcy, żeglarze — mistrze bronzu, szerząc kult słońca. Zachowały się opowieści o dziwnych ludziach, którzy wykładali pierwotnym Chaldecyzykom architekturę, rolnictwo, inne nauki i znaczenie kalendarza. Przybysze ci o dużych brodach, twarzach podłużnych i orlich nosach, w powłóczystych ciemnych szatach — wielcy kapłani, prawodawcy, miłośnicy sztuk i pokoju — zmieniali ustrój obcych ludów, które przyjmowały ich z czcią i ufnością, jak nadprzyrodzonych zesłańców!

Tajemniczy ci apostołowie — wielkie bractwo kapłanów słońca — zgromadzając dokoła siebie dzikie szczepy, nieśli im plon obcej, nieznannej kultury. W ślad za nimi szła architektura w wielkim stylu, świątynie, pałace wspaniałe, sztuka stosowana i pismo hieroglificzne, podobne do egipskiego, lecz jeszcze dotąd dla nas nieczytelne. — Piramidy z podstawą o 285 metrach na 30 — 35 wysokości. Miliony ich. Są dane, pozwalające przypuszczać, że przy świątyniach z kamienia, wykładanych złotem, istniały kolegia kapłanów — astronomów i kapłanów, głoszących wszędzie tę samą naukę o balsamowaniu zmarłych, posługujących się temi samymi mytami i symbolami, jak np. o górze i drzewie świętem, o czterech rzekach, o krzyżu i wężu. — Idzie to wspaniałym pochodem od Atlasu berberyjskiego do Egiptu, Chaldei, Meksyku, Peru drogą, na której spotyka się po dzień dzisiejszy jeszcze — prócz grobowców i piramid — szeregi dolmenów.

I wszędzie, gdzie pojawiali się apostołowie, zostawały widome ślady czci kobiet, które u Atlantów grały wielką rolę. Sasowie, naród sąsiadujący z Medami, a skolonizowany przez rozbitków Atlantidy, wznosił w hołdzie dla królowej swojej Zariny, wielkiej wojownicy, trójkątną piramidę o 180 m. wysokości. Każda jej strona miała u podstaw 840 m. Na wierzchołku, ostro zakończonym, stał olbrzymi złoty posąg. — U plemienia Mayów w Jukatanie, gdzie cywilizacja stała tak wysoko że nauka, literatura, sztuka wykładane były we wszystkich wybitnych gmachach państwowych — dziewczęta kształciły się w zakładach, stanowiących coś w rodzaju dzisiejszych naszych klasztorów. Książek było tam i we wszystkich wogóle uczelniach, bibliotekach takie mnóstwo, że Hiszpanie w chwili zwycięskiego swego wejścia zrzucili je na olbrzymie stosy i spalili ku wielkiej rozpaczce tubylców.

Były to ostatnie odbłaski potężnej oświaty, zaginionej przed tysiącami lat, a z której skorzystali późniejsi dzicy zdobywcy krain, podźwigniętych materialnie i duchowo przez Atlantów, jak w wiele stuleci potem skorzystali Rzymianie w zetknięciu się z cywilizacjami o wiele wyżej poziomem, a które ujarzmiali zwycięskim orężem nie ducha, lecz fizycznej siły.

Uczeni współcześni przypuszczają, że ofiarą najbliższego lodowego okresu padną państwa, przodujące dziś w dzidzenie cywilizacji, a więc — Anglja, Francja, Niemcy, Skandynawja! Gdy wypadnie im zamarznąć pod śniegiem, zakwitną wówczas potężne państwa w innym klimacie.

*) Z powodu książki: „L'Atlantide. Un continent disparu. Sixième partie du monde par. Roger Dévigne. Paris. Les Editions Grès et C^{ie}. 1924 r.

A może pochłonie je wszystkie, pochłonie ziemię całą nowy potop?

Wybitny geolog amerykański, Leon Lewis, dowodzi, że koniec świata nastąpić może za sto, za 10.000 lub za milion lat, ale także jutro, pojutrze, każdej chwili. Twierdzenie swoje opiera na tem, że około bieguna południowego panuje zimno, a śnieg pada bez przerwy. Opad śniegu wynosi pionowo przez 10.000 lat jakieś 57 mil angielskich, czyli prawie 92 kilometry.

Ponieważ nigdy nie ma tam ani deszczów, ani tajania, więc śniegi pod ciśnieniem własnego ciężaru zbijają się w lód, którego olbrzymie masy ciągle wzrastają, pomimo urywania się gór lodowych. Obecnie powłoka lodowa na biegunie południowym jest tak wielka, jak Ameryka północna. Do-

póki ona się trzyma, dopóty istnieje dotychczasowy stan rzeczy. W chwili gdy lody owe prysną, jesteśmy zgubieni, wtedy bowiem nastąpi potop lodowy, który—według Lewisa—już kilkakrotnie ziemię nawiedzał. Setki milionów metrów sześciennych lodu i wody przeciw będą ku północy przez ocean Atlantycki, a na puste miejsce na biegunie południowym zwali się od wschodu ocean Indyjski, od zachodu ocean Spokojny.

Zdaniem Lewisa potop dwa razy nawiedzi północną Europę i Anglię, raz przelewając się ku północy, drugi raz powracając do bieguna północnego. To samo działo się z Anglią podczas dawnych potopów lodowych



i dlatego pozostały z niej zaledwie szczątki, niegdyś bowiem—według Reclus'a i Lyoll'a,—Brytania połączona była z Europą i Grenlandją.

Po tym potopie przepowiada Lewis okres lodowy na naszej kuli ziemskiej.

* * *

Książka Rogera Dévigne nie jest oparta na samodzielnych badaniach, lecz stanowi wyciąg olbrzymiej literatury, poświęconej Atlantydzie.

Autor, fanatyk wiary w istnienie przedhistorycznej wyspy, zgromadził materiał odnośny z niezwykłym pietyzmem i podał go czytelnikom w formie przejrzystej, jasnej tak, jak umięją to zrobić tylko uczeni francuscy.

C. W.

Zaślubiny Marji Gonzagi, księżniczki Mantuańskiej z królem polskim Władysławem IV Wazą. Roku pańskiego 1645.

(Z pamiętników pani de Motteville, damy dworu i faworytki Anny Austrijskiej, królowej francuskiej.)

W marcu bieżącego roku Komitet Odbudowy Wawelu otworzył ogromną trumnę, kryjącą szczątki żony dwóch królów: Władysława IV i Jana Kazimierza,—Marji Ludwiki Gonzagi.

W potrójnej skrzyni leżały szczątki królowej, o której historyk, ks. d'Aumale pisze pod r. 1649.

„Wzrost jej jest majestatyczny, głowa regularna, rozumna, spojrzenie imponujące, rozkazujące, nieledwie twarde, ma w sobie wszystkie wybitne rysy odwagi i siły woli“.

Dziś... na czaszce o głębokich oczodołach, spoczywa korona o prostym rysunku barokowym, w prawej ręce do połowy złamane berło, w lewym jabłko królewskie; brunatny szkielet obleczony jest w zbutwiałą szatę obszytą grubymi i do dziś dnia jasno błyszczącymi srebrnymi koronkami. [Dwieście pięćdziesiąt siedem lat przepłynęło nad trumną królowej! — Dwieście osiemdziesiąt osiem lat dzieli nas od chwili, gdy w orszaku ślubnym, w rozkwicie dojrzałej urody, imponująca królewskim wzrostem i majestatyczną postawą, przekroczyła granice Polski dumna Pani z rodu Gonzagów Mantuańskich księżąt de Nevers i de Rethel — ażeby zasiąść na tronie Piastów i Jagiellonów. Przytoczona poniżej karta z pamiętników hr. de Monteville kreśli nam obraz poselstwa polskiego, które z woj. poznańskiego, Krzysztofem Opalińskim, na czele przybyło do Paryża z oświadczeniami Władysława Wazy o rękę pięknej i nieprzystępnej księżniczki, — przebywającej na aworze Ludwika XIII, króla Francji.

(P. R.).

rozkazał się potajemnie wywiedzieć, czyby Mademoiselle¹⁾ nie chciała zostać królową; Mademoiselle przyjęła tę wiadomość z wielką niechęcią: wiek podeszły króla, jego podagra i dzikość jego królestwa sprawiły, że mu odmówiła w sposób, który świadczył, że go nie uważa za godnego siebie. Wtedy król zwrócił się do panny de Guise, lecz księżniczka ta nie była wówczas w łaskach u dworu, mając przyjaciół, którzy nie byli przyjaciółmi Kardynała²⁾, chociaż więc była pełną cnót i zalet, a nawet zachowała ślady wielkiej piękności, małżeństwo to do skutku przyjść nie mogło. Królowa³⁾ nie była skłonna ku

temu, a panna de Guire nie robiła nic na zdobycie sobie jej łaski.

Wybór Starego króla padł tedy na księżniczkę Marję, która posiadała i zalety i piękność—wszystko zatem; myślała ona o tym związku jeszcze za życia księcia de Nevers, swojego ojca, kiedy była młodszą, tak że projekt ten, na nowo przedłożony, został bez trudności przyjęty przez zainteresowanych, my zaś byliśmy świadkami, jak królowa francuska obdarzała, kogo jej się podobało, jedną z najpiękniejszych koron Europy. Księżniczka Marja, córka księcia Mantuańskiego, była piękna i miła; była jeszcze piękna i to bardzo, chociaż przeszła już była te lata pierwszej młodości, które mają przywilej zdobić kobiety. Monsieur⁴⁾ za czasów, kiedy był domniemanym następcą tronu, kochał się w niej, królowa jego matka, Marja Medycejska, która miała nań inne widoki, obawiając się następstw tej miłości, zamknęła księżniczkę Marję w Vincennes. Pozostawała ona tam dość długo niewinną ofiarą uczucia księcia. Atoli zwykła męska niestałość, a także niełaska, w którą popadła Marja Medycejska, i w którą popadł także książę Orleański, rychło ten krótki romans zakończyła. Skoro bohater kładzie kres swemu uczuciu za pierwszą niemłą przygodę, która mu się przydarzy, niewątpliwie ani bohaterce podobać się to nie może, ani historia podobna jest piękna. Namiętność księcia, która z początku robiła dużo hałasu i która z pewnością

¹⁾ Księżniczka Orleańska i de Monpensier (1627 — 1693) córka Gastona ks. Orleańskiego. We Franeji za czasów królestwa słowa Monsieur, Madame, Mademoiselle użyte bez nazwiska nietylko odpowiadały swemu zwykłemu znaczeniu, ale były także tytułami, które nadawano osobom z rodziny królewskiej, pierwszym księżętom krwi: Monsieur, młodszy brat króla, ewentualny następca tronu w razie zejścia bezpotomnego króla; Madame — żona Monsieur i Mademoiselle — najstarsza córka Monsieur.

²⁾ Mazarin (1602—1661) pierwszy minister króla Ludwika XIII, a po śmierci Kardynała Richelieu, regentki, królowej Anny Austrijskiej i syna jej króla Ludwika XIV-go za pierwszych lat jego panowania.

³⁾ Anna Austrijska (1602 — 1665) z domu Habsburskiego, córka króla Hiszpańskiego Filipa III-go, żona króla Ludwika XIII.

⁴⁾ Gaston książę Orleański (1608—1660) młodszy brat Ludwika XIII-go.

Król polski obieralny, a spadkobierca prawowity korony szwedzkiej, pragnąc wejść w związki małżeńskie,

wywarła wrażenie na sercu książniczki Marji, krótko trwała w duszy Monsieur, lecz wspomnienie jej było gorzkie dla tej, która się ujrzała zapomnianą, i słyszałam od przyjaciół tej książniczki, że po swem wyjściu z więzienia, nienawidziła zawsze księcia Orleańskiego nieprzejednaną nienawiścią.

Po tej to właśnie zmianie zaczęto po raz pierwszy mówić o wydaniu jej za króla polskiego. Ale jako że podobne projekty nie zawsze się udają, król ten zamiast niej poślubił książniczkę niemiecką, która żyła niedługo i pozostawiła mu córkę.

Po śmierci księcia Mantuańskiego, ojca swego, książniczka Marja pozostała w Paryżu, gdzie pędziła życie słodko i wesoło ze swymi przyjaciółmi i przyjaciółkami. Nie myślała o niczem innem, jak tylko o rozrywkach i przyjemnościach, których zawsze dostarcza towarzystwo dobrze wychowanych ludzi. Położenie jej wszelako nie było zupełnie bez przykrości, gdyż, nie posiadając wielkiego mienia, nie miała wielkiego wyboru kandydatów do swej ręki. Stan fortuny jej pogorszył się w końcu tak dalece, że kiedy wielki koniuszy Cinq-Mars¹⁾ zapalał do niej miłością, ona słuchała jego wynurzeń przychylnie. Jego namiętne uczucie spodobało się jej, on zaś, tem uczuciem uniesiony, wszedł w wielkie plany, które go zgubiły; pochlebiała mu myśl, że zostanie hetmanem²⁾ i że tytuł ten, jako też łaski, któremi się cieszył u dworu, uczynią go godnym ręki córki panującego. Zguba jego dotknęła książniczkę, nie przynosząc jej bynajmniej zaszczytu, uczyniła ona stosunki jej z Cinq-Mars'em znanymi publicznie i przyczyniła jej wiele wstydu.

Po tej złej przygodzie, która ją zdyskredytowała i która zdawała się być zmniejszyć w niej o wiele szlachetną dumę, zwykłą osobom tego urodzenia, miała ona dane myśleć, że nie masz dla niej więcej szczęścia w żywocie i że wszystko przeciwnem jej być musi.

Księżna³⁾ de Condé miała wiele przyjaciół dla książniczki Marji, broniła zawsze gorąco jej sprawy i przyczyniła się znacznie do tego, że małżeństwo jej z królem polskim zawarte zostało. Mówiła o tem z królową i z kardynałem Mazarini, poruszyła na jej korzyść księcia d'Enghien syna swego i całą jego klikę.

Nakoniec potrafiła utwierdzić w królowej skłonność przełożenia książniczki Marji nad pannę de Guise. Zaś kardynał rozważył, że książniczka ta, której sprawy w niczem jego spra-

wom się nie sprzeciwiała, uboga i złym losem przygnieciona, zachować dlań może wielką za poparcie wdzięczność. Wszystkie te okoliczności razem sprawiły, że wysłał Bregiego jako ambasadora do Polski, dla przeprowadzenia tego małżeństwa. Temu powiodło się tak dobrze, że zdecydował nakłonić króla do wysłania ambasadorów swych z prośbą o rękę książniczki. Książę Orleański, który poprzednio patrzył był na nieszczęścia jej bez litości, teraz widział jej szczęście bez zawiści, a jeżeli żywił dla niej jeszcze jakie uczucie, większy w niem udział brała nienawiść niż przyjaźń.

Ambasadorowie polscy zostali przyjęci w Fontainebleau w wielkim gabinecie królowej, której pokoje są bardzo piękne. Kiedy weszli, książniczka Marja, która znajdowała się w gronie powstała i usunęła się w kąt gabinetu, by nie być obecną przy powitalnych przemowach i by móc im się z dala przyglądać. Posłużyła się mną, by się od nich zasłonić; — stojąc przed nią z początku, nie dozwalałam, by ją dostrzegli ci, którzy mieli być jej poddanymi. Po ceremonii tej, która nie trwała nad długość komplementu, ci panowie, ubrani wszyscy według mody francuskiej i którzy nie wydawali się wcale być cudzoziemcami, zapytali, gdzie jest książniczka. Kilku z nich, którzy poprzednio już byli we Francji i znali książniczkę, dostrzegli ją i wskazali ambasadorom. Zobaczyliśmy tedy, że ci odwrócili się w jej stronę, by się jej pokłonić, a że ja niebardzo ją zasłaniałam, mimo jej wszystkich ceregiele jeden z nich poznawszy ją, złożył jej wychodząc, głęboki ukłon i wszyscy z jego orszaku uczynili to samo. Na audjencji, którą następnego dnia miał u niej tenże, tytułował ją Jej Królewską Mością i odnosił się do niej z takim uszanowaniem, jakby już była jego królową.

W kilka dni później umowa została podpisana w pokoju króla w przytomności całego dworu i bez żadnych uroczystości. Książniczka nie zmieniła swego sposobu bycia z nikim z racji, że została przeznaczoną na żonę królewską i aż do dnia jej zaślubin, odnoszono się do niej równie tak samo, jak dawniej. W dzień podpisania umowy król wydał wielką wieczerzę dla ambasadorów. Był to zamiar królowej, aby wieczerza ta była taką; atoli wieczorem oznajmiono jej, że zaszła wielka kłótnia między oficerami²⁾, która stała się po-

wodem, że brakło sztuka-mięsa, czyli że brakło pierwszego dania, a rozkazy były tak źle wykonane, że cudzoziemcy ci, którzy weszli dość późno, musieli iść po ciemku aż do wielkich schodów pokoi królewskich, zapomniano bowiem, że wprowadzać się ich miało tedy, jako że nie była to droga dla wszystkich. Królowa pogniewawszy się trochę za te baki, zaczęła się śmiać i powiedziała, że Francja nigdy nie potrafi zachować porządku ani w wielkich rzeczach ani w małych i że trzeba mieć cierpliwość.

Królowa, spędziwszy czas dłuższy w swem pięknem ustroniu i zażywając wszelkich przyjemności, jakich ono dostarcza, zakosztowawszy dowoli powietrza leśnego wraz z widokiem uroczych krajobrazów i zadowolawszy cały dwór polowaniami, spacerami, przedstawieniami i balami, zmęczona tem wszystkim, wróciła do Paryża, gdzie wedle dawnych swych upodobań czuła się lepiej niż gdziekolwiekby indziej.

Zimy tej widzieliśmy jeszcze jedną ambasadę polską, która była piękną i godną naszej ciekawości. Przedstawiła nam ona obraz tej dawnej wspaniałości, która przeszła od Medów do Persów, i której przepych znajduje się tak dobrze opisany u starożytnych pisarzy. Chociaż Scytowie nie uchodzili nigdy za oddanych rozkoszy, potomkowie ich, żyjący teraz w sąsiedztwie z Turkami, zdają się chcieć naśladować niejako wielkość i majestat Serajów. Są w nich jeszcze widoczne resztki ich dawnego barbarzyństwa, niemniej przeto nasi Francuzi miast się z nich naśmiewać jak to było ich zamiarem, zmuszeni byli chwalić ich i wyznaczyć szczerze na korzyść tego narodu, że wjazd ich zasługiwał na nasz podziw. Ja poszłam się im przyglądać na Place Royal do pani Vellesavin, gdzie pani domu ofiarowała nam wielki podwieczorek i gdzieśmy się znaleźli w dużym towarzystwie, by go spożyć.

Wojewoda Poznański i Biskup Warmiński zostali wybrani przez króla polskiego gwoili poślubienia książniczki Marji i przywiezienia mu jej. Chcieli oni wystąpić w swym stroju narodowym, by tem więcej zabłysnąć swą świetnością i piękną swych szat. Książę d'Elbeuf został wysłany na przyjęcie ich wraz z dwunastu znakomitymi panami. Wyszły też po nich karoca króla, księcia Orleańskiego i Kardynała, lecz prawdę powiedziawszy, zdali się szpetne w porównaniu z temi, które ci cudzoziemcy ze sobą przywieźli, a które przejechały całe Niemcy. Wjechali oni przez bramę Świętego Antoniego z wielką powagą i w największym porządku na świecie.

(c. d. n.).

Przełożyła Leonja Knollówna

¹⁾ Cinq-Mars ur. 1620 r., stracony za spisek przeciwko Kardynałowi Richelieu 1642.

²⁾ Connétable.

³⁾ Księżna de Condé (Charlotte Marguerite de Montmorency) ur. 1594 zm. 1650, matka Wielkiego Condé, podówczas księcia d'Enghien.

²⁾ Należący do wyższej służby dworskiej i których obowiązkiem był nadzór, zarząd i usługiwanie przy stole osobom królewskim. Cała najbliższa służba królewska składała się z osób pochodzenia szlacheckiego i nieraz z najlepszych domów francuskich. Usługiwanie osobom królewskim uważało się za największy zaszczyt. Podanie koszuli królowi czy królowej było zaszczytem przypadającym w udziale najwyższej urodzeniem osobie, znajdującej się przy tualecie.

MARJA WOŁKOŃSKA i TERESA CONFALONIERI

(1824 — 26)

Pani Teresa nie wiedziała, że więźniów tej nocy wywożą, ale jej myśl bezsenna krążyła zapewne koło głowy ubóstwianego człowieka. Na drugi dzień dowiedziała się z bólem, że niema go już w tych murach, przed którymi zwykła była chodzić codziennie przez dwa lata, smutną w tem znajdując pociechę. „Dzieci nasze wyjechały do klasztoru Karmelitanek w Amiens — pisze tegoż dnia do Pauliny Andryane — objawiając spokój i rezygnację ponad wiek swój. Moja siostrzenica (Andryane) ma się dobrze, moja córka jest chora, tak, że bardzo się lękam o los biednego dziecka. 24-go maja być na miejscu przeznaczenia.”

Tymczasem 24-go Confalonieri leżał w Willach chory, prawie umierający, a żona o tem nic nie wiedziała.

Ciężka podróż po wyboistych drogach przez Pontebbę, Udine, Tarvis, noclegi w nieopieczonych kryminacjach, pogorszyły stan chorego, choć towarzysze okrywali go jak mogli swoimi płaszczami od zimna, bezwładnego na rękach wynosili na postojach, tak że jak mówi raport konwojującego, wydawał się nie aresztantem, ale „bożyszczem otoczonym wielbicielami.”

Ataki były coraz silniejsze, omdlenia następowały po omdleniach i kilka razy strażnikom zdawało się, że wiozą sztywnego trupa. Wiedzieli, dokąd codziennie szły raporty z drogi, zaalarmowali się. Nie chciano śmierci grzesznika, lecz aby żył i — nawrócił się, przyszedł rozkaz, aby go pozostawić w Willach i oddać pod opiekę lekarską. Komisarz Bolza nie pozwolił jednak, aby choremu, leżącemu w gorączce, mdlejącemu za najłżejszym fizycznym wysiłkiem, zdjęto ciasno zanitowane, ciężkie kajdany z obrzmiałych, otartych do krwi nóg.

W półsennych majaczeniach, Federigo wlepił rozpalone gorączką oczy we drzwi z jakąś upartą nadzieją, że za chwilę otworzą się one i wejdzie Teresa.

„Prawda, gdybyś była wiedziała, że leżę sam, wśród obcych ludzi, byłabyś do mnie przybiegła?”

Przyszedłszy nieco do sił, pisze do niej długi, tkliwy list i z gorącą tęsknotą czeka codziennie, „w południe, gdy poczta z Włoch przychodzi”, odpowiedzi.

„Bardzo mi ciężko będzie, droga moja, odjechać stąd, nie doczekawszy się listu od ciebie” pisze ponownie. Nie wie biedak, że listy jego bezpowrotnie utonęły w tece dyrektora policji medjolańskiej, może z powodu wzmianki o kajdanach, którą podkreślił czerwonym ołówkiem. Istotnie

szczegół ten byłby w dziwnym świetle przedstawił owe przyrzeczone solennie pani Teresie „wszelkie względy, jakie ludzkość nakazuje użyć wobec chorego.”

Torresani podkreślił również, nie wiadomo już dlaczego, drugi ustęp:

„Nie mówię ci o tem, co się dzieje w moim sercu. Jakże to wypowiedzieć słowami i cóż powiedzieć ci mogę, czegoby twoje serce nie przeczytało w mojem?”

Po dziewięciu dniach spoczynku i leczenia, chory mógł wyruszyć w dalszą drogę, ku miejscu przeznaczenia. „Jak człowiek umierający widzi w jednym mgnieniu oka całe swoje życie i to, co mu było najdroższe, tak i ja widziałem w myśli ciebie, tylko ciebie Tereso! Nagle powóz zatrzymuje się, u drzwiczek staje wyniosła postać kobieca w ciemnym płaszczu, z twarzą ocienioną rondem kapelusza. Tereso!, krzyknąłem i rzuciłem się ku niej z wyciągniętymi ramionami. Kobieta zmieszana uchyliła welon i pomyłka wyjaśniła się. Była to żona kapitana prowadzącego konwoj i szukała swego męża, który jechał w następnym powozie. Młoda kobieta, wzruszona tą sceną, wpłynęła widocznie na postępowanie męża, który dotąd zachowywał się jak dziki człowiek, a potem złagodniał.”

Nagle zaszła zmiana programu. Z Indenburga zamiast wprost do Berna, powieziono Confalonierę do Wiednia. Zupełna zmiana obejścia. Zamiast brutalnej obsługi, uprzejmy komisarz policji wiedeńskiej, pełen ałuzji do „nieprzewidzianych zmian losu”, zamiast aresztanckiej pryczy w zimnej izbie, wygodne łóżko we wspaniałym apartamencie pałacu policji. tylko i tutaj, jak memento losu, czekającego więźnia, zostały mu na nogach żelaza, wyzerające coraz głębsze rany.

Zagadka przyjazdu do Wiednia rozwiązała się na trzeci dzień: 2 marca, przyszedł w odwiedziny do włoskiego więźnia sam kanclerz austriacki książę Metternich. Towarzyszącego mu Sedlnickiego odprawił wielkopańskim gestem do — kuchni, gdzie wielki szef policji czekać musiał trzy godziny, czy podsłuchiwał swoim zwyczajem? nie wiadomo.

Książę pytał troskliwie „gościa” o zdrowie, ubolewał nad trudami podróży, zdawał się nie spostrzegać ciężkiego łańcucha, który choremu ruchy utrudniał. Przy wykwinie zastawionym stole, popijając herbatę, gawędząc jak równy z równym, mistrz dyplomacji rozpoczął kuszenie.

Był to jakby pojedynek dwóch wybornych szermierzy.

Książę daleki był od trywialnej natarczywości medjolańskiego policjanta, wiedział, że są rzeczy, o które dżentelmen nie może pytać dżentelmena. Ale są kwestje wielkiej, ogólnej wagi, których oświeceniem Confalonieri może oddać wielkie usługi monarchji, a nawet spokojowi świata, przecież on sam poznał już chyba uludę fałszywych haseł, zwących się „patriotyzmem i filantropją” miast starej dobrej maksymy: Boga, monarchy i prawa, przecież on sam rozczarował się dokładnie do ludzi, którzy ufność jego zawiedli i roznieciwszy pożar — zdradzili... wszystko, zna wszystkie nici wybuchowych min, czyż nie powinien ich oświecić, aby kraj swój od dalszych nieszczęść uchronić?

Wielki gracz miał na oku cel konkretny, chciał koniecznie mieć w ręku dowody dla skompromitowania Karola Alberta, księcia Carignan, dość jaskrawe, aby rada monarchów mogła usunąć od dziedzictwa tronu piemontckiego, na który czekał już upatrzonego dziedzic książę Modeny.

Losy dynastji sabaudzkiej, a z nią i losy Italji poszłyby innym torem, gdyby Confalonieri otworzył był usta.

Ale on poznał pułapkę i odpowiadał ogólnikami, gdy książę przechodząc w ton elegijny zaczął stawiać przed oczyma więźnia krzywdę, jaką wyrządził tak bardzo uwielbienia godnej małżonce, wydanej przez niego na łup upokorzeń i troski, a której los mógł by się zmienić, ze zmianą jego losu, a te — ma jeszcze w ręku.

Federigo uśmiechnął się z ledwie dostrzegalną ironją. Wielki psycholog przeholował! Jakże on nie znał tej kobiety, jego kobiety! Gdyby słabnącemu potrzeba było pokrzepienia, to myśl o Teresie dodałaby mu hartu.

Dziś on, nędzarz w kajdanach był więcej jak w dniach szczęścia przedmiotem jej uwielbienia i bożyszczem serca, od zdrajcy odeszłaby w milczeniu.

„Kanclerz, widząc że nie znajduje echa wygrał atut ostatni: jeśli przed nim hrabia nie chce otworzyć serca to może uczynić to zechce przed samym cesarzem!”

Wymówić się od takiego zaszczytu było nie lada zuchwalstwem, ale Confalonieri zrobił to w formie wytwornej grzeczności, zapewniając, że gdyby miał co do powiedzenia nikomu by tego chętniej nie zwierzył jak właśnie Metternichowi.

13)

CEL I ZADANIA PEDOLOGJI

VI.

KŁAMSTWO DZIECIĘCE.

Jednym z momentów najprzykrzejszych, najboleśniejszych dla rodziców jest ten, w którym spostrzegają, że dziecko ich, ten kwiat niewinny, kłamie. Cierpieliby bodaj bardziej jeszcze, gdyby pamiętali o orzeczeniu Rousseau'a, że „kłamstwa dziecięce są winą wychowawców”, i gdyby... poglądnął ten odpowiadał w zupełności istocie rzeczy.

Na szczęście jednak, wykazują nowoczesne badania pedologiczne, że nie należy zbyt przejmować się tak zwanym „pierwszym kłamstwem” bowiem najczęściej ma ono inne zupełnie podłoże, aniżeli poważna wada charakteru, której odkrycie nas w dziecku naszym tak przeraża.

Dziecko atawistycznie już przynosi ze sobą na świat instynkt ukrywania się i udawania. Człowiek pierwotny musiał w ciężkiej walce o pożywienie i istnienie rozwinąć w sobie rychło bardzo instynkt, najlepiej zapewniający mu sposób osiągnięcia jego celów, o ile nie wystarczała na to jego własna siła i potęga. Aby stać się panem przeciwników swoich — zwierząt i ludzi — musiał on ukrywać się ze swoimi czynami, uciekać się do podstępów i udawania, i w ten sposób wyrobił w sobie z czasem instynkt wykrywania prawdy.

Gotowych w tym względzie wzorów dostarczyło mu królestwo zwierzęce, w którym cechy powyższe: ukrywanie, podstęp i udawanie szeroko są rozpowszechnione, jako nieodzowne przy poszukiwaniu zdobyczy. Spostrzegamy je zarówno u zwierząt drapieżnych, jak lisa np., jak i u oswojonych: psa i kota. Człowiek, dzięki sprawności i wysubtelnieniu swoich władz umysłowych, przeistoczy wspólny ten wszystkim istotom żyjącym i poruszającym się, instynkt udawania w popęd udawania, który obecnie z pokolenia na pokolenie dziedziczy się i podtrzymuje, bowiem i dzisiaj potrzebny mu jest — jako broń, obowiązkowa zresztą — w nieustannej jego walce o byt.

Ten właśnie instynkt udawania jest podłożem kłamstwa. Stwierdzenie naukowo zbadanego faktu tego zrzuca oczywiście z bark wychowawcy część winy, przypisywanej mu przez Rousseau'a. Część wszakże tylko, bynajmniej nie całą winę, bowiem wychowanie polega głównie na wyplenieniu, a przynajmniej na osłabianiu popędów ujemnych i rozwijaniu dodatnich.

Zanim jednak mówić zaczniemy o kłamstwach dziecięcych, jako kwestji pedagogicznej, a więc o sposobach walki z niemi, ustalić musimy, jako zasadniczy punkt wyjścia, pojęcie istoty kłamstwa.

Otóż, jak wiadomo, określa psychologia ogólna, a za nią i pedologia, kłamstwo, jako świadomie fałszywe twierdzenie, mające na celu wprowadzenie w błąd otoczenia.

Obie te cechy: świadomość fałszu i chęć wprowadzenia w błąd, są podstawowymi; bez nich nie może być mowy o kłamstwie.

Wychodząc z podobnego założenia, przekonamy się odrazu, że to, co w najwcześniejszym okresie dzieciństwa skłonni byliśmy uważać za kłamstwo, jest w rzeczywistości kłamstwem pozornym jedynie, bowiem nieświadomie fałszywym zeznaniem. To nieświadome kłamstwo — we wczesnym okresie życia dziecka — jest jedną z postaci, w jakiej przejawia się nieustannie czynna fantazja dziecka. Zupełnie tak samo, jak dziecko — bez żadnego celu oszukiwania, lub świadomego wprowadzenia w błąd kogokolwiek — udaje przy zabawie spełnianie jakiejś czynności, tak samo podaje ono fałszywe, niezgodne z istotą rzeczy twierdzenia, w których prawdziwość w danej chwili może nawet najzupełniej wierzyć.

Niema zasadniczej różnicy, czy udając, dajmy na to, „robienie zakupów”, biegają dzieci po pokoju, zatrzymując się przy drzwiach, jak gdyby w sklepie i żądając masła, jaj, czy sera, a potem rzekomo płacąc, dziękując i odchodząc z nabytym towarem; czy też, wykluczając czyn — przedstawiają podobne wyimaginowane przez siebie fakty w przeszłość i opowiadają, że byli na targu i kupili masło, jaja, ser i. t. p.

Opowiadanie jest u dziecka często jedynie wyrazem chwilowego subiektywnego wyobrażenia, niezależnie od tego, czy wyobrażenie to odpowiada faktom rzeczywistym czy nie.

Bardzo ciekawe obserwacje — dzięki skrupulatnemu prowadzeniu wspomnianych już przez nas dzienniczków — notują monografie kłamstwa dziecięcego, opracowane na podstawie obserwowania własnych dzieci. Klasycznym wzorem takiego opracowania, dokonanego łącznie przez matkę i ojca, jest dzieło Klary i Wiljama Sternów p. t. „Erinnerung, Aussage und Lüge in der ersten Kindheit” (Pamięć, zeznawanie i kłamstwo w pierwszym okresie dziecięctwa) a także Ernesta i Gertrudy Scupinów: „Bubi's erste Kindheit” (Wczesne dzieciństwo małego Bubi). I jedni i drudzy obserwatorzy dochodzą, na podstawie ciekawych swoich badań duchowego rozwoju dziecka w pierwszym okresie jego życia, do wniosku, że kłamstwa w tym wieku są tylko pozorne i że tem samem nie należy brać ich tragicznie.

Większość t. zw. kłamstw małego dziecka, spowodowana jest niedostateczną sprawnością pamięci, bujnością i nieokiełznaniem ramami rozsądku wyobraźni dziecięcej, lub też refleksyjnym sposobem obrony.

Małe dziecko nie ma jeszcze wyrobionego pojęcia czasu. Nie potrafi ono przełożyć faktu, który istotnie miał miejsce, we właściwy czasokres, wogóle w okres miniony. Tak np. opowiada Wiljam Stern o 2½ letnim wówczas synku swoim, Güntherze, że, po powrocie ze spaceru, na zapytanie ojca, kogo spotkał w ogrodzie, odpowiedział, że widział dwie znajome dziewczynki, co, jak się okazało, specjalnie nie miało miejsca. Dawniej istotnie często się z niemi spotykał, ale obecnie, od dwóch tygodni, dziewczynki wyjechały z rodzicami. Ojciec pytaniem swoim wywołał w umyśle dziecka obraz obu dziewczynek, nie było ono jednak w stanie zorientować się co do czasu, jaki upłynął pomiędzy chwilą opowiadania, a spotkaniem dziewczynek po raz ostatni. Dziecko 2½ letnie nie ma jeszcze świadomości czasu i dlatego, zupełnie bez intencji kłamania, odpowiedziało na pytanie ojca, że spotkanie miało miejsce „dzisiaj”.

Takie omamienia pamięci dziecięcej nie ograniczają się wszakże jedynie na fałszywym umieszczaniu faktów w czasie, lecz ogarniają wogóle fakty i przeżycia przeszłości bezpośredniej. Jak wiadomo, podobne ułudy i brak pamięci, zdarzają się też często i u dorosłych. Znałe są prace z zakresu psychologii doświadczalnej, mające na celu stwierdzenie wierności obserwacji i prowadzące do wniosku, że zdolność ta nader jest u ludzi upośledzona. Na kilkudziesięciu studentów uniwersytetu, słuchających wykładu, podczas którego miał miejsce, umyślnie zaaranżowany przez profesora, napad na niego i bójka, jaka się na tem tle wywiązała, ani jeden nie opowiedział przebiegu, którego był przed chwilą naocznym świadkiem, ściśle i zgodnie z rzeczywistością, a nadto każdy zeznawał inaczej. Doświadczenie to, mające zasadniczą doniosłość dla spraw sądowych, wypadła w sposób jaskrawy brak umiejętności ściśłego obserwowania i zapamiętywania u dorosłych inteligentów. Cóż więc dopiero u dziecka!

Jeśli tedy zmuszamy je pytaniami, aby sobie przypominało i uzmysłowiło jakiś fakt, pobudzamy je tylko do nieświadomego mówienia nieprawdy. Te braki i niedostateczności pamięci dziecka składają się na pierwszą grupę tak zwanych kłamstw dziecięcych.

(c. d. n.)

Emilja Tecka.

IRONJA Mrs SWAUWICK

Liga Narodów wyłoniła z pośród siebie, jak wiadomo, pięć komisji. Ostatnia objęła sprawy najważniejszych bolączek życia i ustroju społecznego, a więc: handlu żywym towarem — kobietami i dziećmi, — rozmieszczenia wychodźstwa wojennego, zwłaszcza emigracji rosyjskiej i ormiańskiej, wzajemnego zabezpieczania się narodów na wypadek katastrof żywiołowych, wreszcie — sprawę palenia opium i używania szkodliwych narkotyków jak: morfina, eter, kokaína i t. p.

W komisji tej ze strony Anglii zasiadała Mrs Ellen Swauwick, która — zdawałoby się — winna była trzymać wysoko sztandar ideałów ruchu kobiecego, przemawiać najgłośniej i upierać się najusilniej przy tezach dobra społecznego.

Wszak dzięki kobiecie zostało zniesione niewolnictwo, a „Pochód Krzyżowy” Joanny Buttler przyczynił się w znacznym stopniu do osłabienia handlu żywym towarem. Hasła ruchu kobiecego obejmowały na całym świecie zawsze walkę z narkotykami, ochronę kobiety i dziecka.

Jakże z zadań swoich wywiązała się przedstawiela Anglii?

Gdy wszyscy członkowie przystąpili do pracy z powagą i pełnym zrozumieniem ciężkiej na nich odpowiedzialności za dobro społeczne, — ona jedna miała uśmiech ironji na ustach. Wystąpienia jej cechowała dziwna uszczypliwość, czego dowodem nazwanie piątej grupy Ligi „Komisją sentymentalną”, co wyszło nie od kogo innego, jak od niej wyłącznie.

Tam, gdzie udawadniano cyframi, że — mimo urzędowego zniesienia niewolnictwa trwa ono dalej pod postacią kupna i sprzedaży kobiet i dzieci; tam, gdzie w pełnych grozy obrazach przedstawiono rozpaczliwe wyniki nadużycia opium i innych narkotyków, — tam Mrs Swauwick nie znalazła nic innego ponad cynizm złośliwych uwag i wzgardliwych przyczynków.

Nie wzruszyła jej statystyka nabywania za umówioną cenę dzieci greckich, macedońskich i ormiańskich przez farmerów południowo-amerykańskich, którzy — biorąc je na t. zw., „wychowanie”, żądają później, aby przez 10, 15, 20 lat bezpłatnie krwawym trudem odrabiali ten suchy chleb, jakim je karmiono.

Nie wzruszył jej tragizm ogłupiałych przez opium narodów, boć przecież w interesie Anglii było, jest i będzie, aby Indje, które spożywają niezliczone ilości tego narkotyku, zatracali w nim inteligencję, siłę swoją odporną, stawały się biernym narzędziem samowoli administratorów kraju, pozbawionego chęci i możliwości buntu.

Kazuistyka wielkobrytańskiej polityki kolonialnej zwyciężyła w sercu Angielki naturalny, prawidłowy porwy serca kobiecego.

Czy nie poruszyły się w grobach szczątki świetlanych postaci Joanny Buttler i Harriot Beecher-Stowe, autorki „Chaty wuja Toma”?
cw.



BUŁGARKI WALCZĄ Z ALKOHO- LIZMEM.

„Wiernik na żenata”, pismo kobiece, wychodzące w Sofji, pomieszcza odezwę, nawołującą do walki z alkoholizmem, szerzącym się w Bułgarii. Z zestawień cyfrowych, podanych w tej odezwie, wynika, że liczba szynków w Bułgarii wzrosła niepomrotnie w przeciągu ostatnich lat kilkunastu. W roku 1909 szynków i zakładów, handlujących alkoholem, było w całej Bułgarii 13.858 w r. 1910 — 15.138, w 1911 — 16.145; w 1912 widzimy zmniejszenie tej liczby do 14.361 — przyczyną tego jest wojna, która znaczną ilość męczyzn zabrała na front, a więc zużycie alkoholu w kraju zmniejszyło się. W 1913 roku jeszcze spada cyfra do 12.895, w 1914 jednak znów się podnosi na 16.123. Odtąd już i ilość szynków wzrasta corocznie. W 1915 r. jest ich 17.000, obecnie cyfra ta już przekroczyła 20.000!

Ponieważ cała ludność Bułgarii według ostatniej statystyki rządowej obliczoną jest na 4.873.127 osób, przeto na każde 245 osób przypada jedna karczma. Po odliczeniu jednakże dzieci, kobiet i ludności wyznania mahometańskiego, której użycie alkoholu jest surowo wzbronione przepisami religijnymi, okaże się, że jeden zakład, sprzedający alkohol przypada mniej więcej na stu męczyzn, podczas kiedy w innych krajach stosunek ten przedstawia się: w Norwegii jak 1:9000, w Szwajcarii 1:5000, w Finlandji 1:4000, w Japonji 1:3400.

Stowarzyszenie kobiet bułgarskich uderza na alarm z powodu tych niesłychanych cyfr i nawołuje całe, myślące i uświadomione społeczeństwo do podjęcia czynnej walki z plagą alkoholizmu. Dotychczas, prócz nielicznej grupy kobiet i młodzieży, nikt się nie interesował tym groźnym objawem, sfery rządowe zaś traktowały sprzedaż alkoholu jako bardzo korzystną dla skarbu państwa, nie licząc się z olbrzymią szkodą, jaką nadmierne spożycie alkoholu przynosi ludności.

CZESZKI DAJĄ DOBRZY PRZYKŁAD.

My, Polacy jesteśmy bodaj jednym z najzdolniejszych narodów na świecie; umiemy wszystko, potrafimy wszystko, prócz jednej tylko rzeczy: zachowania jedności. „Gdzie dwóch Polaków, tam trzy zdania” — mówi przysłowie, aż nadto, niestety prawdziwe. Nie umiemy się zrzeszać ani we własnym kraju, ani na wychodźstwie. Niechże nam pod tym względem służy dobrym przykładem inny naród słowiański, Czesi — którzy przewyciężywszy wrodzoną naszemu plemienu skłonność do waśni i „chodzenia samopas”, potrafią utrzymać jedność narodową, nawet na obczyźnie.

Czytamy w piśmie kobiecym „Zvěstování” o stowarzyszeniu kobiet czeskich w Ameryce pod nazwą „Jednota českých žen”. Stowarzyszenie to obejmuje całe terytorjum Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej i rozciąga swą opiekę nad całym wychodźstwem czeskim i nad wszystkimi Czeszkami, zamieszkałymi w obrębie tego terytorjum. Organizacja ta ma na celu zrzeszenie i zespolenie wychodźców czechosłowackich, nie dopuszczanie do amerykanizacji przez oderwanie się od kraju rodzinnego, a ponadto niesie także niezamowną pomoc materialną we wszystkich potrzebach.

Według ostatniego sprawozdania, organizacja ta liczy obecnie 25.774 członkiń. W roku bieżącym wypłacono niezamownym członkom: jako zasiłki na utrzymanie rodzin, pogrzeby etc. 125.000 dolarów, na koszty leczenia — 9.113 dolarów, na inne cele narodowe — 2.116 dolarów. Kapitał zakładowy stowarzyszenia wynosił 88.787 dolarów, dochody ze zbiorów, składek członkowskich etc. przyniosły w roku zeszłym 386.413 dolarów. Stowarzyszenie rozwija się wciąż, a praca jego świadczy o patriotyzmie, energii i wytrwałości kobiet czeskich na dalekiej obczyźnie.

SZKOŁA MEDYCZNA DLA KOBIET.

W Londynie powstaje szkoła medyczna dla kobiet. Ufundowane są już trzy najważniejsze katedry, powstałe z zapisów trzech ofiarodawczyń, znanych działaczek na polu ruchu kobiecego — Elżbiety Bleekwell, dr. Garret-Andeson i Zofji Jex-Blake.

PANI CZY PANNA?

Feministki całego świata, dbałe o godność kobiety, wyciągają wciąż na forum dyskusji publicznej tę czy inną kwestję, nad którą zwykłym czytelnikom nie przysłoby do głowy się zastanawiać. Takim przedmiotem dyskusji pomiędzy angielskimi pionierkami równouprawnienia jest obecnie zagadnienie: czy tytuł „panna” jest wyrazem upiększającym godności kobiecej, czy też nie?

Zdania pod tym względem są bardzo podzielone. Niektóre działaczki amerykańskie uważają sobie wrost za ubliżenie, jeśli ktoś zwróci się do nich z wyrazem „Mrs“, (pani) o ile są zamężne. Nie chcą rezygnować po zamążpójściu z tytułu „Miss“ (panna) jako jedyne, który—zdaniem ich—przystoi kobiecie niezależnej. Tytuł „pani“ wykazuje zależność od mężczyzny — wołają z pogardą i żądają prawa do zachowania panieńskiego nazwiska i tytułu.

Innych natomiast poglądów jest feministyczny dziennik „The Nation“ przytaczający jako argument, że wszystkie dawne sufrażystki, chociaż niezamężne, domagały się tytułu „pani“. — Czas już znieść te wszystkie rozgraniczenia pomiędzy „paniami“ a „pannami“ — pisze autorka artykułu. Musimy pod tym względem, tak jak i pod każdym innym domagać się zrównania praw z mężczyznami, którzy nie używają żadnych odrębnych tytułów dla odróżniania żonatych od niezonatych.

Jestto doprawdy tylko sprawa aktów stanu cywilnego“.

KOBIETA A LIGA NARODÓW.

Świeżo wydany rocznik angielski „The Woman's Year Book“, poświęcony wyłącznie sprawom kobiecym, zawiera artykuł pani Coombe Fenant, o udziale kobiet z różnych krajów w komisjach Ligi Narodów.

„Niektóre pomniejsze państwa wysyłały z pośród swych delegatów na zebrania Ligi Narodów w latach o 1920 — 21 także i kobiety; przedstawiciele jednak „czterech wielkich narodów“ — Anglii, Francji, Belgii i Włoch nie byli pod tym względem skłonni do nowatorstwa. Toteż koła feministyczne powitały z prawdziwą radością decyzję rządu angielskiego, który w roku 1922 postanowił włączyć kobietę do delegacji na III Zjazd Ligi narodów. Otrzymałam wtedy wezwanie rządu, abym objęła to zaszczytne stanowisko, udałam się więc do Genewy i tam zostałam jedyną przedstawicielką Wielkiej Brytanii w V Komisji Ligi Narodów — komisji, zajmującej się kwestjami humanitarnymi.

Na III Zjazd Ligi Narodów przyjechało, oprócz mnie, jeszcze pięć kobiet w charakterze delegatek. Australja wysłała panią G. E. Dale, Szwecja — panią Annę Bugge Wicksell, doktorke prawa; Norwegia — Dr. Krystynę Bonnevie, która jest profesorem uniwersytetu w Chrystjanji; Danja — pannę Henni Forchammer, przewodniczącą Rady Narodowej Kobiet Duńskich i członkinią Zarządu Naczelnego Międzynarodowej Rady Kobiet; delegatką zaś Rumunji była znana poetka Helena Vacarescu, która oddała wielkie zasługi swemu krajowi, pracując czynnie na polu społecznym i politycznym i propagując gorliwie

ideę udziału Rumunji w pracach Ligi Narodów.

W sekretarjacie Ligi, który gra tak ważną rolę w jej działalności, pracuje także dużo kobiet, niektóre, z nich zajmują stanowiska wybitne. jak np. sekretarki Komisji do Spraw Handlu Żywym Towarem i Komisji Opieki Społecznej

Biuro międzynarodowe Pracy liczy kilka bardzo czynnych członkiń w osobach pani Kjeisberg (Danja), panny Małgorzaty Bondfield (wybranej w tym roku na posła do parlamentu angielskiego) oraz panny Konstancji Smith, ta ostatnia pracuje w roli technicznego doradcy do spraw imigracyjnych.

Ameryka nie należy do Ligi Narodów, ma jednakże swoją reprezentantkę w Komisji Zdrowia, w osobie Dr. Józefiny Baker, członkini Departamentu Zdrowia w Stanach Zjednoczonych. Drugą Amerykanką, oddającą rzetelne usługi pracy humanitarnej, prowadzonej przez Ligę Narodów jest pani Hamilton Wright, członek komisji Opiumowej.

Ameryka Południowa ma tylko jedną reprezentantkę w Lidze Narodów — jest nią Dr. Paulina Luisha z Urugwaju. Francja ma jako przedstawicielkę jedną z najuczestniejszych kobiet Europy — panią Skłodowską-Curie; należy ona do komitetu Współpracy Intelktualnej. W skład tegoż Komitetu wchodzi i wyżej wymieniona Dr. Bonnevie z Norwegii. Istnieje jeszcze pozatem przy Lidze Narodów Komisja Opieki nad dziećmi i kobietami, deportowanemi do Turcji i Azji Mniejszej. Ma ona swoją siedzibę w Konstantynopolu, a w skład jej członków wchodzi również dwie kobiety, pani Jeppe i panna Cushman, które pracują niezmiennie intensywnie w kierunku niesienia pomocy tym nieszczęśliwym ofiarom wojny“.

ZADANIA STENOGRAFISTEK.

W Lozannie odbył się niedawno V Międzynarodowy Zjazd Stenografistów, w którym, oprócz Szwajcarów, brało jeszcze udział 38-iu delegatów z innych krajów. Na obrady Zjazdu wpłynął wniosek, postawiony przez panią Estoup z Paryża, zawierający obronę stenografistek przeciwko dotychczasowemu ich upośledzeniu i propozycję zrównania ich w prawach z kolegami—stenografistami, a mianowi-

cie: 1) Dopuszczenie stenografistek do personelu urzędników parlamentów, które to stanowiska, bardzo płatne, rezerwowane były dotychczas tylko dla mężczyzn. 2) Zrównanie kobiet—stenografistek pod względem wynagrodzenia za pracę z mężczyznami, i przestrzeganie, aby stenografistki nie stwarzały niepożądanego konkurencji mężczyznom, przyjmując niższą płacę. 3) Wprowadzanie w tych wszystkich instytucjach, gdzie pracuje liczniejszy personel kobiecy, dwóch wyraźnie oddzielonych kategorii pracowniczek, zwykłych maszynistek, które powinny być opłacane na równi z fachowcami—stenografistami.

Propozycje te wzbudziły niezmiernie ożywioną dyskusję zebranych. Głównym oponentem pani d'Estoup był delegat niemiecki, dr. Robert Fuchs z Drezna, który sprzeciwiał się stanowczo dopuszczeniu kobiet do personelu stenografistów parlamentarnych. Pan E. Wyter, stenograf Izby Parlamentarnej Szwajcarskiej, domagał się usunięcia tego wniosku z pod dyskusji, jako poruszającego kwestje zarówno natury społecznej, jak i politycznej. Jednakże w końcu propozycje pani d'Estoup zostały poddane pod głosowanie i przyjęte znaczną większością głosów.

RUCH KOBIECY NA KUBIE.

„El Sufragista“, dwutygodnik, wydawany przez Stowarzyszenie Równouprawnienia Kobiet na Kubie, zapowiada w ostatnim swym numerze program działania tego stowarzyszenia na rok bieżący. Program ten przedstawia się jak następuje:

I. Dążenie do uzyskania równych praw obywatelskich dla kobiet kubańskich i do przeprowadzenia w dotychczasowym prawodawstwie zmian, koniecznych dla zrównania wszystkich obywateli Kuły bez różnicy płci, pod względem politycznym, społecznym i ekonomicznym.

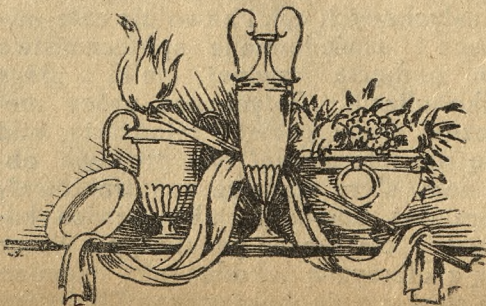
II. Propaganda w kierunku wprowadzenia powszechnego, obowiązującego nauczania, a to celem wyplenienia analfabetyzmu i uczynienia z ludu kubańskiego świadomych obywateli swego państwa, rozumiejących, na kogo oddają swe głosy przy wyborach do przedstawicielstwa narodowego.

III. Zwalczanie alkoholizmu i wszelkich innych narkotyków, których użycie wyniszcza organizm i przyczynia się do upadku rasy.

IV. Współpraca ze wszystkimi międzynarodowymi stowarzyszeniami pacyfistycznymi, celem uniknięcia wojny w przyszłości i załatwiania wszelkich konfliktów na drodze dyplomatycznej.

V. Walka z prostytutką i handlem żywym towarem, niesienie pomocy kobietom upadłym i pragnącym zmyć z siebie piętno tej hańby, opieka nad dziećmi nieprawemi.

Z. B.



WYCHOWANIE FIZYCZNE I ŻYCIE SPORTOWE KOBIEC

DOSKONAŁYM TYPEM FIZYCZNYM KOBIEC JEST LEKKA ATLETKA.

Lekka atletyka jest ćwiczeniem, fizycznym, które się w ostatnich czasach rozpowszechniło ogromnie w całym świecie. W programie nowoczesnych igrzysk olimpijskich, wskrzeszających tradycje helleńskie, zajmuje ona bardzo poważne miejsce. My Polacy mimo dużego już postępu na tem polu pozostajemy jeszcze bardzo w tyle poza Ameryką, poza narodami zachodnio i północno europejskimi.

Kobieta lekka atletka, można powiedzieć, prawie jeszcze u nas nie istnieje, a przynajmniej nie na poziomie światowym.

Występy nielicznych pań, biorących udział w zawodach lekkoatletycznych można raczej uważać za eksperymenty, za pokazanie, co możnaby osiągnąć, a nie co już jest dokonane. A sport to tak piękny i pożyteczny, i dla kobiety jeden z najodpowiedniejszych.

Pod ogólną nazwę lekkiej atletyki wchodzić ćwiczenia w chodzie i biegu, w skokach i rzutach. Ruchy te tak naturalne, tak niezbędne, które jednak nasz „cywilizowany” sposób życia ograniczył do minimum, są przecież podstawowymi ruchami człowieka; z pewnymi zmianami, urozmaiceciami wszystkie prawie ruchy, prócz wspinania może, dadzą się sprowadzić do tamtych, lub są ich częścią składową, a w każdym razie wartości, jakie osiągamy przez ćwiczenie się w nich jak umiejętność szybkiego zmieniania położenia w przestrzeni, szybkiego koordynowania skomplikowanych wysiłków, błyskawiczne ocenianie okiem odległości, decyzja wobec przeszkód, wytrwałość, siła rąk, nóg, wreszcie wyrobienie mięśni i giętkości całego tułowia, stanowią w sumie to właśnie, co nazywamy zręcznością, sprawnością, wyrobieniem fizycznym.

Bo czyż można nazwać zręcznym człowieka, który nie potrafi rzucić na oznaczone miejsce lub daleko jakiegokolwiek przedmiotu, który nie potrafi estetycznie i szybko biec, lub lekko i zgrabnie podskoczyć przy tenisie lub w tańcu?

Lekka atletyka te elementy ruchu, te podstawowe jego części składowe doprowadza do doskonałości, dąży do wykonania ich jak najmniejszym wysiłkiem jak najpiękniej i jak najskuteczniej.

Atletyka ciężka, której wspólna nazwa u laików budzi niezasłużoną

odrazę i do atletyki lekkiej, polega na zapasach siłowych z przeciwnikiem, na dźwiganiu ciężarów i t. p. wyrabia typy ludzkie ociężałe, z nadmiernie rozwiniętymi barkami i ramionami, typ siłacza, który przeważnie kosztem serca i płuc, kosztem giętkości i pięknej budowy uzyskał nieproporcjonalny rozwój mięśni.

Lekki atleta przeciwnie to człowiek przeważnie wysmukły, długonogi, człowiek o wyrobionem doskonale sercu i znakomicie działających płucach, zwinny i szybki w każdym poruszeniu, a przytem ruchy miękkie, piękne, okobyste, oceniające jak oko łwierzęcia bez omyłki każdą trudność i odległość, harmonja w każdym szczególe.

Czy to wszystko nie stanowi ideału piękna całej postaci i dla kobiety, dla niej szczególnie?

Bo jeszcze u mężczyzny może mieć swoich zwolenników (czy zwolenniczki) typ muskularnego, grubociosanego Herkulesa czy Zbyszka Cyganiewicza, ale dla kobiety; dla kobiety typy rubensowskie przestały już dawno być ideałem, a wymagamy od niej tej elegancji linii i poruszeń, którą daje tylko siła, połączona ze sprężystością i giętkością przy budowie raczej szczupłej i wysmukłej, ozdobiona wdziękiem i subtelnością. A wszystko to, to cechy nieodłączne idealnej lekkiej atletki.

Ćwiczyć się poważnie w lekkiej atletyce, jak we wszystkich zresztą sportach, można tylko pod okiem trenera, ja tu chciałabym dać tylko parę uwag o niezbędnem przygotowaniu do takich ćwiczeń, o tem, co każda z pań czy to sama może robić w tym kierunku, czy też czego może nauczyć dzieci, nie mając zresztą konieczności na widoku uprawiania lekkiej atletyki, ale wiedząc, że to jest niezbędne dla każdego, dbającego naprawdę o kulturę swego ciała.

Prócz wszelkiej gimnastyki, gier czy sportów, uprawianych dorywczo czy nawet stale, niezbędne jest dla zdrowia poświęcenie kilkunastu minut dziennie, najlepiej rano, na zabiegi koło swojej osoby.

Znakomicie rozpowszechnił to znany ogólnie „Mój system” Müllera. Jest w nim wiele rzeczy, na które nie można się zgodzić, jednak podstawowe zasady są niesłychanej doniosłości. Nacisk, położony na ćwiczenia oddechowe, na pobudzenie krążenia krwi, na harmonję budowy.

System ten polega na wykonaniu codziennem kilku ćwiczeń wszystkimi grupami mięśniowemi ciała (tak jak to wspominałam w „Lekcji Szwedzkiej”). Ćwiczenia te u Müllera są zbyt skomplikowane i trudne, przez co wiele osób źle je wykonywuje, przynosząc sobie raczej szkodę niż pożytek.

Lepiej zastąpić je ruchami prostymi. A więc kilka zwrotów głowy w lewo i prawo. Rzuty rąk ze skurczu w bok lub pion. Przysiady lub wykroki, wynoszenie zgiętej lub wyprostowanej nogi do przodu, w bok lub w tył. Pochylenie w przód, bok lub w tył całego tułowia, pamiętając zawsze, by unikać wygięcia w lędźwiach, ściągać łopatki i nie zwęzać klatki piersiowej.

Doskonałem ćwiczeniem mięśni brzucha jest, leżąc na ziemi unosić nogi do pionu, lub łatwiejsze, zginać kolejno kolana, lub zaczepiwszy początkowo stopy o jakiś sprzęt, szafę czy umywalnię, prostować się do siadu. Łatwe do wykonania w domu będzie naginanie i prostowanie ramion w postawie wspartej o framugę okna, czy o stół lub krawędź łóżka, gdyż podpora na ziemi jest za ciężka dla wielu pań.

Zresztą mając jakie takie wyobrażenie o gimnastyce i pamiętając o zasadach fizjologii, każdy może dobrać sobie zależnie od siły i zręczności ilość i jakość ruchów.

Po gimnastyce nastąpić musi umycie całego ciała wodą pokojową, ażeby oczyścić skórę i uodpornić ją, a przez nią cały organizm przeciwko zaziębieniom. Tu potrzeba już trochę przyzwyczajenia, ale można zacząć od wody letniej, gdy jednak ciało mocno wytrzyma szorstkim ręcznikiem, a potem natrzemy, rozmasujemy — nie może być obawy zaziębienia i nie pozostaje najłżejsze uczucie chłodu.

Ruchy nacierania, doskonale opisane u Müllera, polegają na tarcu dłonią ramion, nóg, bioder, całego ciała wzdłuż i w poprzek.

Najszerszy ruch, to stojąc w lekkim rozkroku, pochylivszy się w dół od kostek wzdłuż całego przodu, prowadzić dłonie mocno, aż do szyi, prostując się równocześnie, aż do lekkiego przegięcia w tył. Pochylając się znowu do przodu przełożyć ręce na łopatki, jak wysoko można sięgnąć, nacierać tylną stronę ciała.

Boki i biodra rozcierać można czy to jedną dłonią, pochylając się na przemian w lewo i prawo, czy obiema, lekko zginając się w przód.

Do górnej części pleców sięgamy przodem na przeciwną łopatkę, lub lepiej nacierać je wierzchem ręki a nie dłonią, zakładając rękę tyłem. Resztę praktyka sama każdemu podyktuje, byle spróbować.

Miedzy poszczególnymi ćwiczeniami musimy poświęcić trochę czasu na ćwiczenia oddechowe (naturalnie robimy to wszystko w wywietrzonym dobrze pokoju).

Polegają one na głębokich oddechach i wydechach: powolny i sil-

ny oddech, szybki, energiczny wydech. Najlepiej łączyć ćwiczenia oddechowe z ćwiczeniami rąk, rozsuwającymi klatkę piersiową. A więc przy wdechu wzniesć ramiona do boku, przy wydechu opuścić, lub zaczynamy, trzymając ręce przed piersiami (t. zw. skurcz poziomy) w miarę wciągania powietrza przenosimy ręce w bok, prostując je w łokciach, przy wydechu ręce wracają przed piersi. Doskonale oddycha się leżąc na ziemi, dobrze wtedy szczególnie dla dzieci, kazać im położyć ręce na mostku, by same kontrolowały podnoszenie się klatki piersiowej. Dla dzieci garbiących się, a prawie wszystkie w wieku szkolnym mają tę tendencję, będzie to zarazem doskonałym wyprostowaniem. Jako sposób prostowania można polecić również ustawianie dzieci pod ścianą, czy przy drzwiach, tak, żeby przylegały zupełnie piętami, całym tułowiem i tyłem głowy.

Tego rodzaju zabiegi powinien wykonywać w mniejszym lub większym zakresie z najrozmaitszymi zmianami indywidualnymi każdy sportsmen czy nie sportsmen, starszy człowiek czy dziecko, a kobiety przede wszystkim. One uchronią kobietę od nadmiernej otyłości lub watości, zachowają jej dobrą i jędrną figurę.

Zanim pomówię o lekkiej atletyce, jako takiej, chciałabym jeszcze zaznaczyć, że do jakich lat 15-tu lub dla osób niewyrobionych fizycznie najlepsza jest naturalna lekka atletyka. Niech więc dziecko biega, niech skacze czy to w dal, przez rów lub na odległość oznaczoną kreską, czy w zwyz przez sznur lub płotek, uczmy je rzucać do celu lub na odległość kamieniem czy piłką. Zachęcajmy do tego szczególnie dziewczynki, chłopcy sami biorą się do tych rzeczy. Dziewczynkom zapewnimy przede wszystkim ubranie, któreby im pozwoliło biegać i skakać. Miękkie, bez obcasów pantofle, szerokie i krótkie spodniczki, jeżeli już nie mogą na wsi czy na boisku chodzić w szarawarach gimnastycznych. Ubranie to główny powód, który tamuje ich ruchy, a co za tem idzie, zatrzymuje rozwój fizyczny.

Tak przygotowane dziewczęta będą mogły dopiero myśleć o sportach, o lekkiej atletyce w szczególności.

I. Fabrycowa

We Francji odbyły się niedawno ogromnie ciekawe zawody sportowe dla pań. Zawody te polegają na wykazaniu sprawności jak najbardziej wszechstronnej współzawodniczek. Obejmują one bowiem i chód na 10 klm. w zwykłym, codziennym ubraniu, bieg, skoki przez płotki, w dal i wzwyż, przepłynięcie przepisaney

odległości wodą, rzut kulą, wspinać się po linie i t. p.

Udział w zawodach tych brało 40 pań, uprawiających najrozmaitsze gałęzie sportu, należących do kilku klubów. Ciekawe, czy u nas znalazłoby się choć kilka kobiet sportsmenek, któreby mogły poddać się tak wszechstronnej próbie?

PAŃSTWOWA SZKOŁA GOSPODARSTWA DOMOWEGO

Zupełnie wypadkowo, nie w celu opisanja jej w „Bluszczu”, zwiedziłam przed paru dniami „Państwową szkołę gospodarstwa domowego” na Solcu. Wysłałam stamtąd wprost zachwycona, nie tem, czego tam uczą, — lecz tem, w jaki sposób tego uczą. Jeżeli się już poważnie mówi o tem, aby kobiety z inteligencji obchodziły się bez służącej, to należy sobie uprzytomnić, że gospodarstwo nie z gotowania tylko się składa. Sprzątanie i pranie, reperacja bielizny i szycie najpotrzebniejszych sztuk ubrania i bielizny, stanowią również niezbędne części składowe tego gospodarstwa. Ukończenie szkoły kucharskiej da znajomość kuchni nieco jednostronną, gdyż wszystkie znane mi szkoły kucharskie są prowadzone wraz z jadłodajniami i z konieczności muszą do ich wymagań być zastosowane. Kurs szycia i kroju znowuż daje dużo teorii i praktyki, w szwalni trwa lata całe, w otoczeniu, na jakie panna z inteligencji z trudnością się zdecydować, a pranie, sprzątanie, palenie w piecach, szorowanie, — rzeczy pozornie łatwe, lecz przy braku wprawy, wymagające szalonego wysiłku fizycznego, należy zgłębić samej, płacąc za naukę masą błędów i użyciem energii zupełnie nie współzrędnem do prac wykonywanych. Mamy wprawdzie kilka dobrze prowadzonych szkół gospodarstwa, jak Chyliczki, Kurnik—Kuźnice i t. p., lecz zakłady te są przedewszystkiem zastosowane do potrzeb wsi, powtórę zajmują najmniej rok czasu, są więc kosztowne dzisiaj, kiedy się z czasem liczyć zaczynamy, na koniec jest ich tak mało, że znikomą ilość wychowanek co roku do życia praktycznego przygotować są w stanie. Szkoła, którą dzięki wysokiej uprzejmości kierowniczk i nauczycielek poszczególnych

oddziałów, dokładnie zwiedziłam, uczy dziewczęta z klasy robotniczej, które, niestety dla nas, na służbę nie pójda, natomiast dadzą świetny materiał na gospodynie we własnych domach, na praktyczne żony i matki.

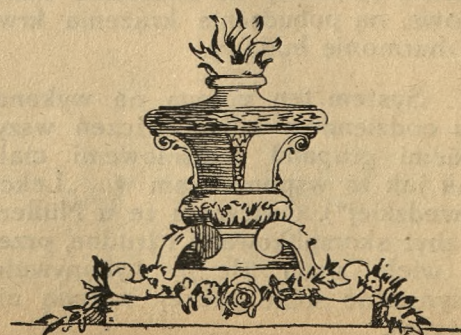
Żeby jednak ten sam system, który w niej jest stosowany, wprowadzić obowiązkowo do wszystkich średnich szkół żeńskich, po latach kilku bolączka złej służby, lub brak służby przestałaby istnieć. „P. Szk. g. D.” nie ma własnego kontyngensu uczenic, korzystają z niej dwa ostatnie (6 i 7) oddziały najbliższych szkół powszechnych, w taki sposób, że dziewczęta zamiast lekcji, dwa razy tygodniowo przychodzą do szkoły gospodarczej i tam podzielone na grupy, praktycznie się uczą zajęć domowych. Poza wykładami teoretycznymi o potrzebie oszczędności i porządku, o higienie i zdrowem odżywianiu, które, dla tej sfery, byłyby martwą literą, muszą one w każdym dziale spełniać wszystkie prace w tym zakresie, w jakim się je spełnia w zwykłym gospodarstwie. Więc w dziale szycia, szyją dla siebie i dla swojej rodziny wszelką bieliznę, bluzeczki zwykłe, spodniczki, proste sukienki, reperują i cerują, mierzczą i znaczą.

W pralni piorą ścierki i fartuchy szkolne i własne, przynoszoną z domu bieliznę. Sprzątają klasy i kuchnie, szorują stoły i podłogi, bufety i blachy, myją naczynia stołowe i kuchenne, przyczem się uczą zachowania rzeczywistej, a nie powierzchownej, zewnętrznej czystości. W kuchni idealnie czystej, grupami po 8 uczenic, gotują: jedna grupa obiad dla personelu nauczycielskiego, druga dla siebie samych. Jest to świetne rozstrzygnięcie kwestji, co zrobić z ugotowanymi potrawami, nie prowadząc jadłodajni.

Koszt obiadu z trzech dań, (w dniu moich odwiedzin był doskonały rosół z ptysiami, sztuka mięsa z chrzanowym sosem i kartoflami i placek ze śliwkami) wynosi od 50 groszy wzwyż, lecz nigdy nie przekroczył jednego złotego. Oczywiście wszystko się odbywa pod miarą i wagą, proporcje są zupełnie dostateczne i dobrze obmyślane.

Przepis każdej, wykonanej potrawy notuje się w oddzielnym kajecie, tak, że każda uczenica jednocześnie posiada wypróbowaną praktycznie książkę kucharską. Oprócz obiadu, robią uczenice rozmaite konserwy zimowe, pikle, sałaty octowe, grzybki marynowane, jarzyny suszone, — wypiekają pasztety, chleb, bułki, ciasta, pączki, — żeby mieć materiału do nauki. Rzeczy te przyjmuje się do wypieku. — Cztery godziny dwa razy tygodniowo, przez dwa lata, wystarczają aby nauczyć dziewczynę z ludu, dziecko prawie (od 13 do 16 lat) całokształtu gospodarstwa, ta sama ilość godzin w ciągu jednej zimy wystarczy napewno pannie dorosłej z inteligencji do nabycia tych samych wiadomości. Jednocześnie przy tym sposobie podziału pracy uczy się w szkole 250 dziewcząt. Pożądaniem byłoby, aby jak najrychlej i jak najwięcej szkół tego typu otwarto dla inteligencji.

E. K.





I.

„Wakacje moich dzieci” — J. Kaden-Bandrowskiego, wyd. „Ignis” 1924 r. Warszawa.

Do każdej książki Kadena przystępować trzeba z myślą jasną, wysiłkiem niezmacną. Bowiem styl jego przypomina kunsztowną robotę rytowników, których tajemnica głęboko utajona w miedzianych wyłobieniach dopiero uważnym oczom odsłania całe bogactwo swego świata.

Z takim przeświadczeniem otwierałam ostatnią jego książeczkę p. t. „Wakacje moich dzieci”.

Frazesu tam nie znajdziesz, skąpiesz się w całym morzu artyzmu, skłanisz głowę przed znojnym wysiłkiem pracownika, który słowo każde waży na cenę złota i przetapia w skupieniu na jego niepożytą moc.

Duchem książki, jej słońcem są dwie jasne główki, przed którymi ścięte się w proch skądinąd pyszna, świadoma siebie jaźń artysty, to jego synowie. „cała wiązka szczęścia, radości i nadziei.”

Myliłbyś się jednak, Czytelniku, gdybyś sądził, że nie rozdzieli cię z nimi żadna z tych stron z ich ducha poczęta. Przeciwnie. Odnajdziesz ich zaledwie w paru momentach. Pod rzędem świętych obrazków w rybackim łożu, jeszcze ciepłych od snu, a już w całej gotowości do jawy, pełnej życia, radości, niespodzianek... W starej dziurawej kutrze na piachu przed domem z buziami wypchanymi jedzeniem, w groźnym samopoczuciu marynarzy, którzy jadą na zdobycie świata... W kawalerskim ataku na drewnianych kijach... W upalnej drodze ku morzu... Na łasze nadbrzeżnej... Na łódce w niezamąconej ciszy morskiego bezkresu... Wśród wrzosów leśnych, przytulonych do podścieliska w skupionem wypatrywaniu grzybów. — I to prawie już. Ani wiesz, ile mają dni, miesięcy, lat. Ani wiesz, jakimi są ich oczy, usta. A jednak czujesz ich serduszka, bijące tuż przy twojem, widzisz ich ciała, na brąz spalone, żyjesz z nimi w ich świecie pośpiechu, fantazji, pracowitości i myśli. Rozumiesz ich. Kochasz. Rozumiesz i kochasz — jak ten duch opiekuńczy, który każdej chwili rozpina nad nimi skrzydła miłości ojcowskiej, a każdej chwili gotów ścielić się im do nóg, jak piach nadbrzeżny, byle po nim drogę znaleźli... do morza.

Musiałbyś mieć serce z głazu, ani krzty wnikliwości, byś nie wzruszył się tą skąpaną w morskich, przestworzach miłością ojca. Ona jest największym pięknem książki. Lecz nie ona wyczerpuje jej treść.

Zbyt szeroką obręczą rozłożyło się życie przed oczami artysty, by mógł zamknąć swą duszę w jednym źródle, choćby naj-

czystszej, najgłębszej wody. Dla niego to źródło jest przede wszystkim życiodajnym czynnikiem, z którego czerpie nowe siły, odnajduje nowe kąty widzenia — na szeroki świat, zawsze w pryzmacie własnej, możej a subtelnej inteligencji.

W książeczce tej, o której mówię, tym światem jest morze, woda „szalona w swojej głębi, przy granicach piaszczystych tak potulna”.

Trzeba samemu przeczytać książkę, by ujrzeć je takim, jakim je widział artysta w całej jego potędze, bogactwie barwnych, świetlnych plam, różnolitości charakteru i nastroju.

Bije z niego moc, rodzi się myśl o wieczności. Krajobraz jest tu raczej tłem, na którym rozsnuwa się filozoficzna myśl, okuta w spiż słowa, wyczelowana dźwiękiem.

Myśl o jedności wszechrzeczy.

„Chyba tem samem jest opar niebieskiej pogody i mech podwodny, i suche tchnienie żagla, i oddech mój, i cień pobliskiej ziemi.”

Myśl wobec której istność jednostki staje się żdźbłem:

Jak w świecie Lamartine’owskiego „Jeziora” — ogarnia cię bezbrzeżny smutek nad własnem poczuciem nicości.

„Nie spamiętasz mnie, dniu słoneczny, ani ty, falo, zachowasz w szklanej myśli, choć tym samym żyję ruchem nad twem zwierciadłem, którem się posuwali ludzie przez wielkie morza od tysięcy lat...”

Oto tak — i tak... Tak płynęli ojcowie nieznani, zapomniani, których całe życie rozwił do szczętu czas, jak mnie w swojej kolei rozmicie znów układnie.

Poczem nadejdą moi chłopcy, na swój czas nowi, silni... któryś z nich ze sławą, albo z rozumem świata potrzebnym, może jechać będzie tędy, morską drogą i przechylony przez barjerę, zaśmieje się nagle, nie wiedząc, że to moje stare umarłe oczy z falą ku niemu płyną.”

Jakież zatem cel wszechrzeczy? W czem sens istnienia?

Każde żdźbło piasku składa się na dużą wieczną, która wszystko do krwi przeciera, nim się sama do szczętu zetrze na wieki i na nic.

Cicho, pokornie kłoni się dusza poety wobec niezmierzonego zagadnienia bytu i na morskich falach odchodzi w świętem milczeniu i znika jak cień.

H. W.

II.

Przegląd nowych wydawnictw popularno - przyrodniczych.

Od czasów, kiedy śmierć zabrała s. p. Br. Znatowicza i wielka wojna przecięła istnienie „Wszechświata”, w lekturze popularnej przyrodniczej (w dobrem zrozumieniu tego wyrazu) wytworzyła się luka.

Wprawdzie tu i owdzie w prasie codziennej i czasopismach ukazywały się informacje, dotyczące nowych odkryć i wynalazków, lecz podawane przez niefachowe pióra sprawiały wrażenie raczej bajek o żelaznym wilku, niż opisu rzeczy wiarogodnych i prawdziwych.

Obecnie dwa pisma popularne, prowadzone poważnie, umiejętnie i ciekawie mogą nas wprowadzić w wir prądów naukowych, zobrazować i powiadomić o tem, co się robi i co dokonać trzeba w dziedzinie nauk przyrodniczych.

Te dwa miesięczniki — to „Przyroda i Technika”, organ Polskiego Tow. Przyrodników im. M. Kopernika (wyd. Książnica — Atlas), wychodzący pod kierunkiem dr. Fulińskiego od 1922 r. i „Przyrodnik”, redagowany przez dr. Simma i wydawany w Cieszynie (Śląsk) nakładem księgarni B. Kotuli. Pod względem zewnętrznym pisma te przewyższają „Wszechświat”. Obfitują w dobre ilustracje a „Przyrodnik” dodaje nawet kolorowe tablice.

Oba miesięczniki niektóre swe artykuły wydają w książkowych odbitkach, które tworzą: 1) „Bibliotekę Przyrody i Techniki”, 2) „Bibliotekę Przyrodnika”. Treść artykułów istotnie żywa. Kogoż bowiem nie obchodzi „Park Narodowy w Białowieży”?

Któż, będąc nad morzem, nie zechce zaspokoić swej ciekawości do spotykanych bodaj przygodnie tworów morskiej fauny i flory? (Pawłowski, Jakóbski, Fiszler. Z polskiego brzegu. K. Demel, Ryby Bałtyku polskiego. Bibl. P. i T. Rouppert, Szata roślinna polskiego brzegu i Bałtyku. Bibl. Przyr. Nr 9—11). Kto nie zechce dowiedzieć się o „Radjotelegrafii”? (Malarzski B. P. i T. J. Ciabotny. „Radjotelegraf i radjotelefon” „Przyrodnik” zeszyt 5, 6, 7, 8, 9 i 10).

Znajdziemy w tych pismach wskazówki do hodowli płazów i gadów w pokoju, do kolekcjonowania owadów (Kalendarzyk entomologiczny), do tworzenia zbiorów przyrodniczych, sprawozdanie z wycieczek i wypraw naukowych, przegląd książek i czasopism.

W książce „Muzeum Przyrodnicze” dr. Simma znajdzie czytelnik jasne i proste „Wskazówki do sporządzenia i konserwowania zbiorów przyrodniczych” (Cieszyn 1924). Zaawansowany florysta zawsze zaglądać będzie do „Hryniewieckiego wskazówek p. t. „Zielnik i Muzeum botaniczne” wydanych wprawdzie już 1922 r., lecz wciąż cennych dzięki krytycznemu przeglądowi odnośnej literatury naukowej. Spokojnie będzie mógł on teraz zabrać się do określania roślin, z kluczem p. t. „Rośliny polskie”, mając pewność, że znajdzie to, czego trzeba. Klucz ten napisali Szafer, Kulczyński, Pawłowski. (Książnica — Atlas 1924). Dla zbieraczy owadów, ogrodników, rolników przygotowuje p. Simm „Entomologię” (Cz. I-a ukazała się już w księgarniach). Będzie to książka o szerszym zakresie, wprowadzająca w świat nauki o owadach.

P. Z. Lorec wydaje (Książnica — Atlas zeszyt I) dzieło o „Akwarjum pokojowem”, zdobiąc je własnoręcznie prześlicznymi rysunkami! P. Jan Dembowski z talentem wyświetla nam „Istotę ewolucji”, kreśli „Historję naturalną jednego pierwotniaka (wyd. Bibl. polska, Bydgoszcz 1924) i „Naśladowanie zjawisk życiowych, jako metoda biologiczna”. Oto niewielki stos książek, napisanych dobrze, których wartość nie zawiedzie.

E. K. L. A. S.

SUKNIA WIZYTOWA

Suknia wizytowa. Cała gama kolorów i tonów, bogactwo odmian materiałów i przybrań, poczynając od miękkiej wełny, przerabianej jedwabiem, lub zdobnej wielką, barwną kratą i popeliny, która wraca do mody, aż do crêpe de Paris i crêpe georgette.



Ozdoby z naszywanej miękkiej skórki, bogate hafty, wykonane wełną, lub jedwabiem, wyszycia z paciorków, futra i imitacje futer. A kolor przeważnie czarny, brązowy, we wszystkich odcieniach i ponsowy.

Natomiast linja — fason dadzą się ująć w dwa zasadnicze typy.

Pierwszy, to noszona już w zeszłym sezonie całkowita suknia, z pasieczkiem wąskim, lub tylko odcięta na wysokości bioder.

Nowością w tym sezonie są jedna, lub dwie plisowane falbany, naszyte w formie fartuszka na przodzie spódnicy, albo szeroka falbana kloszowa, wychodząca jak gdyby z pod tej odciętej

bluzy—stanika. Taką falbanę można zrobić z tego samego materiału co suknia, lub też koloru znacznie jaśniejszego, w kratę, czy inny fantazyjny deseń. Kombinacja bardzo wygodna przy przerabianiu sukien.

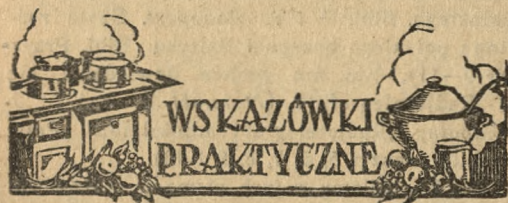
Rękawy długie, rozszerzone ku dołowi i luźno puszczone, lub ujęte w paseczek wiązany, czy też zapinany, co tworzy przy ręku rodzaj bufy, albo zupełnie krótkie, zaledwie zasłaniające ramię.



Drugi typ, bardzo efektowny, ale niestety, znacznie mniej wygodny od poprzedniego to całość bardzo gładka i wąska. Wąska, ale nie obcisła, od bioder ku kolanom zewężająca się jeszcze, aby pod kolanami rozszerzyć się znacznie ku dołowi. W miejscu, gdzie linja zaczyna się rozszerzać, suknia taka jest zwykle przecięta i przecięcie zaznaczone rodzajem paseczka, wyszyciem, lub futrem. Rękawy musi mieć wąskie, przylegające do ręki, dla utrzymania ogólnej linji sylwetki.

Przy tym fasonie widzimy nieraz zapięcie na drobne guziczki z przodu, od ramienia do linji bioder, lub z tyłu, przez środek pleców.

Przy szyi kołnierzyk „a la bébé” z białej organdy, ozdobiony plisowanymi falbaneczkami, lub kolorowymi plisakami, albo wycięcie owalne, przybrane futrem, haftem, lub wyszyciem z paciorków, a całość, nadająca figurze ładną, wysmukłą linję i pozor swobody ruchów, pomimo wąskiej sylwetki.



OBIADY NA MASZYNCE.

Obiad I.

Zupa ogórkowa na cynaderkach. Pierogi leniwe z sera. Jabłka duszone

Gotując na maszynce, należy cenić czas przede wszystkim, należy więc brać na zupę cynadry wieprzowe, które sprzedają w masarniach i wędliniarniach, lub nerki cielece. Na trzy osoby, ciwieć kilo cynadry nastawić z półtora litrem wody, marchewką, pół pietruszki i cebulę oczyszczoną, obrać pół kilo kartofli, pokrajać w plasterki lub kostkę. Gdy zupa się zagotuje, zszumować, osolić, wrzucić listek i parę ziarn pieprzu, ogień zmniejszyć i gotować na wolnym ogniu około pół godziny, wrzucić kartofle i gotować razem, oddzielnie obrać spory kwaszony ogórek i pokrajać w kostki, gdy cynadry są miękkie, wrzucić ogórek, wlać pół filiżanki kwasu od ogórków, pół kwatki śmietany, zagotować razem. Cynadry pokrajać w plasterki i włożyć napowrót do zupy. Kto lubi zupę zawieszistą, może ją podprawić łyżką maki rozbitą paru łyżkami wody i razem jeszcze zagotować. Zupę wstawić w gniazdo, a na maszynkę wstawić rondel z wodą na pierogi leniwe.

Pół kilo sera świeżego, lub twarogu, dobrze utrzeć na misce, dodać półtora do dwóch szklanek maki i dwa jaja, wyrobić mocno na jednolitą masę, osolić, podzielić na trzy części, uformować długie waleczki, spłaszczyć, pokrajać na ukos, jak zwykle leniwe pierożki, wrzucić na osolony wrzątek, gdy spłyną na górę pogotować jeszcze trzy minuty, odcedzić na durszlak, wodę wylać, a pierogi włożone w rondel wstawić w drugie gniazdo, zarumienić łyżką masła na patelni i utłuc suchej buleczki garstką, przy podaniu pierogi wyłożyć na półmisek, polać rumianem masłem i posypać buleczką.

Trzy jabłka nieobrane pokrajać na ćwiartki, ułożyć w małym rondelku, osypać pół filiżanką cukru, wrzucić kawałek cynamonu i parę gwoździków, wlać wodę parę łyżek, przykryć pokrywką i postawić na bardzo zmniejszonym ogniu aby się dusiły. Podawać zupę. Zanim się zje zupę i pierogi, jabłka się uduszą. Wody w nich powinno być tylko tyle, aby się nie przypaliły, nie więcej trzech łyżek.

Obiad II.

Buljon grzybowy z wermiszlem. Zrazy nelsonskie z kartoflami. Kisielek czekoladowy.

Kisielek najlepiej ugotować z rana, aby miał czas dobrze ostygnąć, jeżeli go robimy razem z obiadem należy zacząć od niego. Tabliczkę 50 gramową czekolady rozpuścić w rondlu na wolnym ogniu, dodać 100 gramów cukru (ćwierć funta) i dwie i pół szklanki wody, zagotować. Pół filiżanki maki kartoflanej rozprowadzić pół filiżanką wody, wlać w gotującą się czekoladę, mocno wybić łyżką, gdy zacznie gęstnieć wylać do salaterki i postawić gdzieś w chłodnym miejscu.

Łut grzybów suszonych nastawić z pokrajanymi w plasterki grzankami, marchewką i pietruszką, listkiem, paru ziarnkami pieprzu, gdy grzybki i jarzynki zmiękną, grzybki pokrajać też w paski, wysypać 50 gramów wermiszu włoskiego, włożyć łyżeczkę herbatnią masła, osolić do smaku, gotować aż wermiszle zmięknie, odstawić w gniazdo.

Pół kilo kartofli obrać i pokrajać w plastry, dwie duże cebule obrane pokrajać też w plastry, jeden grzybek wzięty z zupy pokrajać w paski. Funt mięsa miękkiego od zrazowej lub skrzydła pokrajać w cienkie plastry i zbici jak najmocniej, na dno rondla położyć łyżeczkę masła, na to rząd mięsa, osolić, popieprzyć, posypać cebulą z grzybami, potem położyć rząd kartofli, znów mięso cebule, kartofle, na koniec zalać kwatką śmietany i szklanką wody, zakryć szczelnie pokrywą, postawić na maszynkę i dusić na przykręconych knotach, nie otwierając rondla, a tylko potrząsając nim aby do dna nie przystało. Od chwili zagotowania powinno się dusić dwadzieścia minut tylko. Otworzyć rondel,

popróbować, jeżeli kartofle miękkie, ogień w maszynce zgasić i obiad podawać.

Do kisielka należy podać pół litra surowego lub gotowanego i ostudzonego mleka.

WYBORNA LEGUMINA PANI B.

(proporcja na 15—16 osób)

Ośm dużych jabłek, dobrego, aromatycznego gatunku, np. antonówek lub aportów, obrać, pokrajać na ćwiartki i zlekką obgotować w ocukrzanej wodzie. Dziesięć brzoskwiń świeżych, lub dwadzieścia połówek suszonych, amerykańskich, (te ostatnie należy namoczyć w wodzie, w której się gotowały jabłka, na godzin kilka, aby napęczniały, jak świeże). Duży, głęboki półmisek metalowy lub formy wysmarować niesolonem masłem, na to ułożyć jabłka i brzoskwinie. Ośm żółtek utrzeć do białości z funtem cukru, wysypać dwie łyżki buleczki najdrobniej utłuczonej, białka ubić na sztywną pianę, zmieszać z żółtkową masą, zalać owoce i wstawić w miernie gorący piec, aby się zrumieniło. Podawać w temże samem naczyniu, gorące wprost z pieca.

Pani Elżbieta.

Z ŻYCIA STOWARZYSZEŃ KOBIECYCH

Koło Pracy Kobiet, opiekujące się od lat 10 niemowlętami, dziećmi i młodzieżą, usiłuje wszelkimi sposobami dać swym wychowankom fach do ręki.

Poza guzikarstwem, zabawkarstwem i kamasznictwem specjalną uwagę zwrócono na szycie bielizny, haft i mereżki.

Powodzenie jakim się cieszy Sala Zająć, Piękna 45, wyłączenie bieliźniarstwa i haftom poświęcona, zachęciło K. P. K. do otwarcia nowej placówki p. n. II-ga Sala Zająć, Marszałkowska 143 m. 25, przyjęte będą wszelkie prace w zakresie krawieczyny.

Dokładna robota i umiarkowane ceny oto hasło obu sal zająć Koła Pracy Kobiet, sal z wszechmiar zasługujących na poparcie szerokich sfer.

OPIS SUKIEN I ROBÓT

DO Nr. 43

576. Kostjum jesienny z ciemno brązowej wełny, przybrany skunksami.

577. Kostjum z wełny, w kratę, przybrany futrem. Pasek i wykończenie kieszeni ze skóry.

578. Kostjum z szarej wełny, przybrany popielatymi karakulami.

579. Suknia dla starszej osoby z sukna ciemno brązowego. Kamizelka z crêpe marocain w kolorze trochę jaśniejszym od sukni.

580. Kaftanik dla starszej osoby z wełny granatowej, naszywany wąską, czarną plecionką.

581. Kaftanik dla starszej osoby z popielatej wełnianej flaneli, przybrany haftem wykonanym włóczką w kilku spokojnych tonach.

582. Bluzka—kaftanik dla starszej osoby z ciemnej wełny, z odmienną kamizelką, objętą aksamitem.

583. Eleganckie palto dla starszej osoby. Dół z czarnego aksamitu, góra z czarnej grubej materji. Przybranie z aksamitu marszczonego w bufy.

584. Suknia dla starszej osoby z wełny brązowej. Przód ciemno piaskowy. Guziczki z perłowej masy.

585. Suknia wizytowa dla starszej osoby. Dół aksamitny, góra z crêpe marocain, wyszywana w kratę drobnymi pacioreczkami.

586. Palto z grubej wełny lub pluszu, przybrane pasmanterją.

587. Zakieciak z miękkiej wełny dla dziewczynki od lat 5 do 7.

588. Sukienka z piaskowego sukna dla dziewczynki od lat 7 do 10. Nałożenie białe, wyszywane wełną brązową, piaskową i niebieską.

589. Sukienka dla dziewczynki od lat 8 do 12 z wełny w kratę. Kamizelka gładka w kolorze odpowiednim do materiału, lub białym.

590. Sukienka dla dziewczynki od lat 4 do 6 z flanelki ponsowej, przybrana czarnym.

591. Sukienka dla dziewczynki od lat 12 do 15 z wełny granatowej, przybrana czarną taśmą.

592. Kostjum dla dziewczynki od lat 8 do 12 z miękkiej wełny, wyszyty włóczką, prostymi równoległymi ściegami.

593. Palto dla dziewczynki od lat 7 do 10 z aksamitu czarnego. Kołnierzyk gro-nostajny.

594. Sukienka dla dziewczynki od lat 12 do 14 z granatowej gabardiny, przybrana czarną aksamitką. Kamizelka biała.

595. Serwetka na szarem płótnie — haft kolorowy — motyw zakopiański. Wielkość 20x20 cnt.

596. Obrós na szarem płótnie — haft kolorowy — motyw zakopiański. Wielkość 150x200 cnt.

„EWARYST”

Marszałkowska 114

TELEFON: 30-17. 224-68.

WIELKI WYBÓR PERFUM,
KOSMETYKI I FARB FRAN-
CUSKICH DO WŁOSÓW.

268

DORAŻNA POMOC
Lekarzy Specjalistów
w Warszawie

„AUXILIUM”

Czynna w dzień i w nocy bez przerwy

tel. 403-50.

Udziela niezwłocznej pomocy lekarskiej przez lekarzy wymaganej specjalności w mieszkaniu chorych lub w KONSYLJA

264 Biuro Centrali ul. Żórawia 33.



DENTOSAN

NAJLEPSZA PASTA DO
ZĘBÓW.

HAZ-ELITE

Wyborowy KREM udeli-
katniający i bielący cerę.

Żądać wszędzie!

278

Kooperacja Pszczelarzy

przy NACZELNYM ZWIĄZKU Tow. pszczelarskich

„BARC” w Warszawie, ul. Miodowa 14,
w podwórzu tel. 62-38.

z nadstawkami i deskami
ogrodowej.

OLE różnych MIODARKI PODKURZACZE,
systemów.

KRATÓWKI i różne przybory pasieczne.

WĘŻ sztuczną z czystego pszczelego wosku
za gotówkę i wymienia za 1/3 wosku.

Kupuje miód, wosk i przyjmuje do
komisowej sprzedaży.

252

Szkółka Drzew Owocowych
Odmian Handlowych

WITOLDA KLENIEWSKIEGO

LEMSZCZYŻNA SZCZĘKARKÓW
(pow. Lubelski) (pow. Puławski)

Polecają wyborowe drzewka, krzewy
owocowe, róże, oraz dziczki. Jabłonie gru-
sze, czereśnie i wiśnie normalnej wysokości
po Zł. 2,50 półpienne po Zł. 2,00 — wiśnie
i czereśnie alejowe po Zł. 3,00—róże od 50
groszy do Zł. 1,50 zależnie od odmiany.

Przyjmuje się również fachowe in-
spekcje i całkowite zakładania ogrodów prze-
mysłowych pod kierunkiem specjalistów.

DYREKTOR HANDLOWY

STEFAN SKAWIŃSKI Pomolog

BIURO SPZEDAŻY:

DOM HANDLOWY B-cia KLENIEWSKY,
A. ROSTWOROWSKI I K. SZLENKIER.

Warszawa, BODUENA 2. Tel. 61-20.

290

Firanki, kapy, hafty, nicianki, towary bieliźniane POLECA: E. MIRECKA

CENY NIZKIE!

JEROZOLIMSKA 21, m. 4 i piętro
mieszkanie prywatne, tel. 273-62.

WIELKI WYBÓR!

287

W. JANISZEWSKI i S^{KA}

W A R S Z A W A,

MARSZAŁKOWSKA № 145

NAJLEPSZE ŹRÓDŁO ZAKUPÓW

DOSKONAŁY KRÓJ I WYKOŃCZENIE

CENY MOŻLIWIE NISKIE

W i e l k i
WYBÓR GOTOWYCH

P i ę k n y
DOBÓR FASONÓW

S U K N I E
KOSTJUMY
OKRYCIA²⁵⁴

HEMATOGEN-LEK

LECZY: BLEDNICĘ,
MAŁOKRWISTOŚĆ, SKROFULY,
NERWY, BRAK APETYTU
NIE PSUJE ZĘBÓW
DLA DOROSŁYCH, DZIECI, STARCÓW

UWAGA: Powiększone wzory robót i formy bibułkowe sukien, podanych w dodatku mód, nabywać można w Administracji „Bluszczu“.

Przy zamawianiu form należy wymienić wielkość (I. II. III. lub IV), podług której forma ma być przykrojona.

TABELKA PRZECIĘTNYCH MIAR

Wielkość	obwód piersi	pas	obwód bioder	dług. pleców	dług. spódnicy
I	84	64	96	34	75
II	96	68	105	37	85
III	102	72	110	39	95
IV	114	85	120	40	100

Korespondencję, dotyczącą mód i robót, należy kierować oddzielnie do Redakcji dodatku mód. Zamówień nie należy uskuteczniać na blankietach czekowych P. K. O.

Z dniem 1 paźdz. r. b. ceny ogłoszeń jesteśmy zmuszeni podnieść o 100%. Nowe ceny uwidocznione są poniżej. Mimo podwyżki—ogłoszenie w „Bluszczu“ pozostaje nadal najtańszą i najkorzystniejszą reklamą.

PRENUMERATA „BLUSZCZU“

z przesyłką pocztową
WYNOŚI

rocznie 48 zł. — gr.
kwartalnie 12 „ — „
miesięcznie 4 „ — „

Zagranicą:

miesięcznie 8 zł. — gr.
zmiana adresu — „ 30 „

CENY OGŁOSZEŃ:

Cała strona 180 zł. — gr.
 $\frac{1}{2}$ „ 104 „ — „
 $\frac{1}{4}$ „ 60 „ — „
 $\frac{1}{8}$ „ 32 „ — „
 $\frac{1}{16}$ „ 18 „ — „
 $\frac{1}{24}$ „ 12 „ — „

Za tekstem o 50% drożej.

Ogłoszenia firm zagranicznych o 50% drożej.

Od cen powyższych żadnych opustów się nie udziela. Za terminowy druk ogłoszeń

Administracja nie odpowiada. Każda nowa podwyżka taryfy obowiązuje wszystkie już przyjęte ogłoszenia od dnia zmiany cen bez uprzedniego zawiadomienia.

Ogłoszenia mniej niż na $\frac{1}{4}$ część strony przyjmuje się tylko za gotówkę. O ile ogłoszenie drobniejsze ma być powtarzane, za każde trzy razy należy wnieść należność z góry.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
Warszawa, Pałac Staszycy Krak.-Przedm. 2,
Koło Polek, telefon 239-40.
Konto czekowe P. K. O. Nr. 3700.

SKŁAD FUTER

i KONFEKCIJ FUTRZANEJ

FELIKSA KIZYK

WARSZAWA

Marszałkowska 119 — tel. 155-86.

Magazyn Konfekcji Damskiej WŁADYSŁAWA SUDYK

Przyjmuje zamówienia terminowe z powierzonych materiałów na swetry, bieliznę i t. p.

!!Robota wykwinna!!

Wykonanie solidne i punktualne.

Warszawa, Nowy - Świat 12.

Pracownia przy sklepie.

PRZY ANEMJI I OSŁABIENIU

PIG. CHLOROFILOWE
GESSNERA

115 preparat roślinny, pobudza apetyt i wzmacnia organizm.

L. BRZOZOWSKI i W. ROMOCKI

ALEJA JEROZOLIMSKA 24 M. 14.
(parter wprost bramy).

Polecają swoją pracownię ubiorów męskich i damskich, gdzie można się ubrać za gotówkę i NA RATY.

!!CENY KONKURENCYJNE!!! 276

OGŁOSZENIA

przyjmują prócz administracji „BLUSZCZU“: Tow. Akc. „REKLAMA POLSKA“, Warszawa, Jasna 10, BIURO OGŁOSZEŃ, T. PIETRASZEK—Marszałkowska 115, L. i E. METZL i Sp.—Marszałkowska 130, BIURO DZIENNIKÓW S. UNGRA—Senatorska 12, Polsko-Ameryk. Tow. „NOWA REKLAMA“—Długa 9 i l. BUCHWEITZ—Marszałkowska 107.

Wydawca: Tow. Zakładów Graficznych „KOŁA POLEK“.
Sp. z Ogr. Odp.

Redaktorka: WANDA PEŁCZYŃSKA
Redakcja i Administracja: Krak. Przedm. 2. Tel. 239-40

Druk Zakł. Graf. „KOŁA POLEK“ Nowy-Świat 8-10.